N. 8. WARSZAWA d. 12 (24) Lutego 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ODCZYT PUBLICZNY

PRZEZ

J. K. Gregorowicza

NA KORZYŚĆ

WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA

DOBROCZYNNOŚCI.

odbyty dnia 28 Stycznia b. r.

Szanowni Słuchacze!

Myśl i uczucie, nad których wpływem na rozwój cywilizacji i wychowania młodzieży mamy się zastanowić, są to dwie siły w każdym znajdujące się człowieku, które rządząc władzą jego twórczą i ścierając się o przewagę w istocie jego moralnéj, nadają czynom jego odpowiedni charakter. Każdy z nas czuje je w sobie, ulega im naprzemian, a tę wewnętrzną walkę zdradza trapiący nas często niepokój i niezadowolenie z czynu niezgodnego z myślą, myśli drażniącéj uczucie. Potęga ich wielka i zdumiewająca, nietylko jednostki ale całe społeczeństwa, albo przemienia w pokornego niewolnika, albo stawia w człowieczéj godności, podnosi nad świat materji i świat ten oddaje w służebność, aby ludzkość królując mu po szczeblach wiedzy dążyła coraz wyżéj i wyżéj.

W jednostkach ścieranie się tych dwóch władz o prawo rządzenia niemi, obudzając niepokój i niezadowolenie, w społecznościach uwidomia się w czynach więcéj gwałtownych, stanowiących dzieje całéj ludzkości. Ono to obudza między-narodowe nienawiści, uzbraja narody przeciw sobie, wyprowadza krocie wojowników, popycha ich do wzajemnéj z sobą walki, sieje mord, pożogę, zniszczenie, i to tak widocznie, że w każdym zatargu społecznym od najdawniejszych czasów aż do dzisiejszych, wszędzie wyśledzić można dwie te siły, pragnące zapewnić sobie nad drugą przewagę.

Dziwnem się zapewne wyda nie jednemu z Szanownych słuchaczy, nadawanie tak wielkiego znaczenia rzeczom tak napozór błahym, z uczucia i myśli powstającym. Winienem więc usprawiedliwić się, a przedewszystkiem objaśnić jak pojmuję myśl a jak uczucia, które choć tajemnicze i niewidome, rzeczywiście są jedynemi motorami wszystkich spraw ludzkich. Wyjaśni to wiele faktów dziś ciemnych i niezrozumiałych, i wskaże przyczyny dla czego coś dzieje się w ludzkości, tak a nie inaczéj. Któżby naprzykład z dawniejszych kronikarzy podających same fakta bez śledzenia przyczyn, które je wywołały mógł przypuścić, iż starożytny Rzym do zapanowania nad światem pędzony był siłą uczucia, i że chrześcijaństwo samem ocknieniem myśli obaliło pogaństwo, choć tak groźne i silne fizycznie? Któżby z dawniejszych moralistów przyznał, iż całe nasze tak powszechnie praktykujące się biedzenie z życiem, z przewagi uczucia wypływa?

Uczucia jak to wszystkim wiadomo, powstają ze zmysłowych wrażeń człowieka, a należą do nich nie same tylko tkliwe poruszenia serca, tak słusznie przez wszystkich wielbione, ale i inne zwane zwykle żądzami albo namiętnościami, jak gniew, nienawiść, zemsta, pycha, zazdrość, żądza sławy, rozkoszy, posiadania i inne podobne bezpośrednio lub pośrednio w zmysłach biorące początek. Dla tego też zowią się uczuciami, że powstają z przyczyn zewnątrz nas znajdujących się, po uczuciu wpływów na zmysły nasze działających.

Jan Bohomolec w dziełku: Djabeł w swéj postaci, powiada: zmysły nic innego nie są, jedno utkanie i zbiór żył suchych, jako strun na skrzypcach rozmaicie natężonych i nastrojonych, jak więc one dźwięczą poruszone wpływami zewnętrznemi, tak człowiek skacze. Plastyczne to określenie zmysłów zdaje się dostatecznie objaśniać, że wszelkie uczucia powstają w nas ale bez nas, a potęgowane przez częste ich obudzanie, przez skłanianie się to ku jednym to ku drugim, według tego jak silniéj lub słabiéj działają, przychodzą z czasem do takiéj siły, że władają najdespotyczniéj całą naszą istotą, pędzą do czynów śmiesznych lub zdrożnych, często szalonych a nierzadko, karogodnych. Człowiek zostający pod ich przewagą, przemienia się w bezwiedne narzędzie obudzonego do gry uczucia, jakby wozem ciągnionym przez rozszalałe konie, pędzące na oślep bez względu, że wóz mogą uszkodzić lub rozbić na drobne kawałki.

Myśl w ścisłem znaczeniu tego słowa, to tchnienie Boże wlane w nas z duszą, to siła działająca z całą naszą świadomością, jak każą wyrobione w nas pojęcia prawdy i sprawiedliwości. Myśl jako wolny wyrób rozumu, tym bliższą jest prawdy i sprawiedliwości, im źródło z którego wypływa ma jaśniejsze o nich pojęcie. W każdym jednak razie choć błędnie działając, działa przecież ze świadomością, z wolą człowieka, i dlatego za czyny z myśli czyli namysłu powstałe, robi go odpowiedzialnym we własnem sumieniu i przed prawem przez społeczność ustanowionem.

Dla czynów powstałych z rozszalałych namiętności uczuciem wywołanych, prawo to znacznie jest względniejsze, czasami nawet zupełnie uwalnia od odpowiedzialności, a w ludziach dopuszczających się ich, obudza nie zgryzotę sumienia, ale żal że dopuścili się tego o czem nawet nie myśleli, że nie mieli siły oprzeć się władzy, która niemi w chwili błędu rządziła. Dwie zatem te siły odrębnéj są zupełnie natury, jedna w zmysłach druga w rozumie biorąca początek; jedna bezwiedna i nierozumna, druga świadoma celu w którym działa. Jedna gwałtowna, niezmiernie pochopna do działania, ciągle przez zmysły pobudzana do życia, druga cicha, spokojna, umiejąca uczucia rwące się przyciszać, uspakajać i tak je opanować, że jedne z nich, gdy każe, muszą milczeć, a drugie działać w granicach ściśle dla nich oznaczonych.

Są ludzie zupełnie zmysłowi u których myśl słabym zaledwie przyświeca promykiem i to rozczepio-

nym na pojęcia według pryzmatu przez zmysły podstawionego—są i całe podobne społeczności liczące się do wielkiéj ludzkiéj rodziny. Abyśmy lepiéj porozumieć się mogli w pojęciu siły przez uczucia wewnątrz nas wprowadzonéj, przypatrzmy się bliżéj jéj objawom, jéj despotycznéj władzy, zamieniającéj istotę ludzką, choć chwilowo w bezwiedne narzędzie ślepo działające.

Oto człowiek gniewem owładnięty, twarz mu zaczyna czerwienić się, nabrzmiewać, oko iskrzy się, policzki drgają, głos podnosi się, mowa staje się coraz szybszą, coraz niezrozumialszą, myśli plączą się, mięszają, wreszcie wytryska z nich słowo obrazy albo czyn karogodny i nagle człowiek zostaje winowajcą.

W oprzytomnieniu żałujemy zwykle i słów porywczych i gwałtowności czynu, powiadając jedynie w usprawiedliwieniu: nie mogłem się powstrzymać za nadto byłem rozgniewany. I nie przeczymy temu, bo siłę poruszającą w rozgniewanym prawie widzimy niemal dotykamy się jéj i znając jéj potęgę, ze słowami refleksji występujemy dopiero wtenczas, gdy siła ta słabnąc, zdaje się opuszczać rozgniewanego.

Patrząc na niedolę ludzką, współczucie przejmuje nas całych, łzy rozrzewniają, narzekania drażnią, rozpacz przeraża, cierpienia boleścią przejmują i zostając dłużéj pod wpływem odbieranego wrażenia, wpadamy mimo woli w pewien stan bezwładności, odbierający możność niesienia pociechy lub skutecznéj pomocy. W nieszczęściu nagle spadającem, według utartego wyrażenia, w pierwszéj chwili tracimy rozum, czyli możność zawładnięcia poruszającem nas uczuciem.

W nienawiści, w chęci pomsty, w zazdrości, w żądzy sławy, człowiek trapiony rozdrażnionem uczuciem, myśli ztąd powstających nie może się pozbyć: napastują go dzień cały, męczą w nocnym spoczynku, mieszają się do jego zabaw, zajęć i choć je odpycha wracają zaraz z większem jeszcze natręctwem.

Życie nad stan, fałszywy wstyd, zbytnie zamiłowanie stroju, chętka zdobywania mienia bez pracy, podział tejże na mniéj lub więcéj zaszczytną, arystokratyczne nas wszystkich usposobienie, począwszy od zamiatacza podwórza aż do pana pałac zamieszkującego, także są wypływem czysto zmysłowych wrażeń. W spokojnem działaniu myśli, każdy wady te gani, widzi je w drugich, ośmiesza, potępia, dziwi się ich bytowi, ale niech tylko zmysły jego podrażnione zewnętrznem wpływem, przedstawią mu w całym blasku powaby tych pomęt światowych, w téj chwili myśl rozumna nie mieje, a człowiek przed chwilą inaczéj rozumujący, dla zrównania w przepychu drugim zrujnuje się, dla ukrycia swéj niezamożności poniży się, dla przystroju świetniejszego poświęci spokój domowy, dla zyskania mienia zaprzeda się, w obiorze stanu nie chwyci się właściwéj, ale w pojęciu swem szlachetniejszéj pracy, w pysze zaś rodowéj wystąpi ze wzgardą i lekceważeniem.

Miłość, to uczucie tak święte, nazywamy zwykle ślepą miłością gdy nią obdarzamy osobę ze wstrętem przez wszystkich odpychaną, gdy nią otaczamy dziatki nasze z taką mocą, że niewidzimy w nich błędów często wielkiéj doniosłości. Bigoterja wreszcie, brak tolerancji, fanatyzm wszelkiego rodzaju, słowem wszystko co stanowi wady i ułomności społeczne, wypływa z wrażeń-czysto zmysłowych, z potęgi uczucia nie kierowanéj rozumną myślą. Następstwa z tego poddaństwa mniejszéj doniosłości kładziemy zwykle na karb niedoskonałości natury ludzkiéj, w wypadkach większego znaczenia rujnujących nieraz całą naszą przyszłość, pobudki upatrujemy zwykle w nieprzyjaznym dla nas losie, w nieszczęściu z góry narzuconem. Błąd to wielki, zakrawający na fatalizm świata starożytnego.

Ułomność natury ludzkiéj ma tu wielkie znaczenie, woli Bożéj trudno także przesądzać, ale w rzadkich tylko wypadkach czyny nasze dadzą się w ten sposób usprawiedliwić. Niespokojność, żal, pewien rodzaj wyrzutów sumienia, jakich doznajemy póżniéj ze smutnych następstw naszéj nierozwagi, jasno dowodzą, że wybór drogi postępowania był w naszéj mocy, że ulegliśmy im wprawdzie skutkiem wrodzonéj ułomności, ale nie rozporządzeniu woli Bożéj z góry narzuconéj. Dla hamowania potęgi uczuć, mamy drugą jeszcze większą potęgę z myśli wypływającą, człowiek więc winien, że jéj nie użył, a nie jakiś los lub przeznaczenie.

Piorun uderza i pali budynek nie zaopatrzony w przyrządy, zabezpieczające go od szkodliwego wpływu téj siły natury, czyż winien tu piorun czy człowiek, co zaniedbał korzystać z ochrony myślą zaleconéj? Czyż przyczynę zniszczenia w podobnym wypadku mienia całéj rodziny, można przypisać bezpośrednio woli Bożéj, kiedy piorun co ją spowodował mógł nieszkodliwie spłynąć po budynku, gdyby przezorność ludzka ułatwiła mu do tego drogę.

Podobnie do pioruna działają uczucia, myśl dla nich jest jakby gromochronem, któréj użycie zupełnie od woli człowieka zależy.

Był przecież czas że się ludzkość głównie pod przewagą uczuć rozwijała. Należy do niego cała starożytność przedchrześcjańska, chociaż cywilizacja jéj pod wielu względami zdumiewa nas dotąd i stała się głównym fundamentem dla nowożytnéj, pod wpływem myśli rozkwitującéj. Obie niezmiernie wybitne przedstawiają różnice.

(d. c. n).

KORESPONDENCJA.

Lwów 1 lutego 1872 r.

(Konkurs na scenę lwowską i kandydaci.—Oświata ludowa.—Pierwsze numera nowych pism.—Rok 1872. Drobne sprostowanie.)

Kończąc ostatnią korespondencję wiadomością, o powolnym toku rokowań rady fundacji Skarbkowskiéj z p. Miłaszewskim w sprawie rozwiązania kontraktu dzierżawcy sceny, nie przypuszczaliśmy, wcale, by rada ta zajmując się sprawą teatralną od kilku miesięcy aż do przesytu, i okazawszy tak wielki brak stanowczości i powolności w decyzji, zdobędzie się wreszcie na krok śmiały i stanowczy. Tymczasem przypuszczenie to było mylne, bo już w kilka dni po wysłaniu poprzedniéj korespondencji, zaczęła obiegać po Lwowie autentyczna wiadomość, że wreszcie po ośmioletniéj walce inteligencji i sumiennéj krytyki z obskurantyzmem i przewrotnością, scena lwowska wyzwoloną została z pod ciężkiego jarzma osławionéj dyrekcji p. Miłaszewskiego. De mortuis nihil aut bene! Pan Miłaszewski zrzekłszy się od kwietnia b. r. zaofiarowane mu, niewiadomo jakim tytułem, 10,000 zł. w. a. dyrekcji sceny lwowskiéj, może obecnie powołując się na powy sze przysłowie wymagać, ażeby o nim wcale nic albo tylko pochlebnie pisano. Nie możemy pisać pochlebstw, więc zaniechamy wszelkich spóźnionych już oskarżeń.

Od wielkiéj nocy tedy rozpocznie swe czynności nowa dyrekcja, któréj dotąd jeszcze ani znamy, ani przewidujemy, bo konkurs rozpisany przed miesiącem w tych dniach ubiega: decyzja zapadnie dopiero w końcu lutego. Jakkolwiek w skutek wiadomych już zmian w urządzeniu fundacji Skarbkowskiéj, scena lwowska przestała być jedyną i uprzywilejowaną, jakkolwiek rada administracyjna fundacji Skarbkowskiéj postanowiła wyzyskać dla majątku fundacji zmiany, i w konkursie ogłosiła najzupełniejszą licytacją za wydzierżawienie miejscowości, mimo to przecież odpowiednich dyrektorów nie braknie nam wcale a kto wie, czy w końcu nie okaże się embaras des richesses. Dotąd bowiem już wystąpiło otwarcie kilku kompetentów, o których dzienniki niebawem rozpoczną bój zawzięty, bo już teraz jesteśmy świadkami forpocztowych utarczek. Pan Miłaszewski jest tak naiwny, że nie wyłącza możliwości wydzierżawienia sceny na dalsze sześciolecie, i w tym celu robi administracyi przedstawienie o wydzierżawienie całego gmachu Skarbkowskiego oczywiście razem ze sceną i przyrzeka płacić czynsz, przewyższający znacznie dochody, jakie dzisiaj przynosi cały gmach Skarbkowski. O przyjęciu tych ofiar nie ma mowy. Administracja bowiem potrafi sama podwyższyć czynsz za mieszkania i nie złakomi się wcale na dyrekcję, któréj ustąpienie przed miesiącem aż stratą 10,000 zł. w. a. okupić musiała. Obok p. Miłaszewskiego ubiega się także tutejsze towarzystwo przyjaciół sceny narodowéj, które na złość niepoczciwym językom zaprzeczającym byt jego, zamierza przekształcić się w towarzystwo akcyjne i objąć dyrekcję. Statut nowy już ogłosiło towarzystwo i z niego dowiadujemy się, że rada zawiadowcza będzie mianować dyrektorów zarządców etc. a czysty dochód obrócony zostanie na podniesienie sceny. Pomysł taki jest prawie niewykonalnym. Akcje nieprzynoszące żadnego zysku oprócz małego rabatu na biletach teatralnych, zakupią chyba miłośnicy sceny i do tego zamożniejsi, a takich jest u nas bardzo mało, by utworzyć się mogło istotnie żywotne towarzystwo.

Dla tych powodów akcyjna spółka teatralna niewielkie ma widoki powodzenia, a jakkolwiek dziennik protegujący ją energicznie, nie wątpi o jéj zwycięztwie przy konkursie, to przecież tryumf ten wydaje się nam za nadto przedwczesnym i prawie niepodobnym. Trzecim z kolei współubiegającym się jest hr. Cetner, po za którym stać ma jedna z warszawskich znakomitości na polu dramatycznem. Mówią także o kandydaturze dyrektora sceny krakowskiéj p. Koźmiana, ale wieść ta nie jest pewną a nawet wątpliwą. Na tem kończy się szereg kandydatów, z pomiędzy których jeden obejmie niezawodnie dyrekcję, bo o reszcie niemających artystycznéj kwalifikacji nawet wspominać nie warto. Zresztą ktokolwiek zostanie dyrektorem, zawsze scena lwowska tylko korzystać może na tem, bo dyrekcja dawniejsza już na zawsze przestała panować. Wie o tem dobrze p. Miłaszewski i dlatego nie poprzestając na podanym powyżéj projekcie, stara się wynająć opustoszony gmach akademicki, w którym założyć myśli drugi teatr. Życzymy na tem polu najzupełniejszego powodzenie, bo taka konkurencja wyjdzie niezawodnie na korzyść sztuki i publiczności.

Sprawą oświaty ludowéj publiczność i dziennikarstwo zajmują się obecnie gorliwiéj niż kiedykolwiek. Mamy już wiele projektów, zakładania wiejskich szkółek i czytelni, utworzenia instytucji nauczycieli wędrujących itp. ale dopiero przy wykonaniu tych planów pokaże się, czy kraj naprawdę zająć się pragnie tą dla materjalnego i moralnego postępu tak niezmiernie ważną sprawą. Dotąd zdziałano na tem polu dosyć mało, chociaż nie brakło ani zachęty ani gorliwości jednostek. U nas bowiem najłatwiéj, bo jednym zręcznym artykułem, obudzić można powszechny zapał dla jakiejś sprawy, porwać jednym zgrabnym i w porę wypowiedzianym frazesem wszystkie umysły za sobą, ale tryumf ten jest chwilowym. Zobojętnienie ostudza zbyt rychło gorączkowe niemal zajęcie się, a téj zapory już niepodobna potem usunąć, nawet piorunującą zachętą. Tak się dotąd działo z oświatą ludową, która może dopiero w téj

chwili zdoła zahartować publiczność w raz powziętych zamysłach. Dla uzasadnienia powyższéj uwagi, wyjmujemy z listu jednego z najzasłużeńszych wydawców dzieł ludowych następujące szczegóły. Przed trzema laty wydawca ten rozpoczął w Krakowie perjodyczną publikację dla ludu, odznaczającą się wartością i niską ceną. Dziennikarstwo i głos opinji publicznéj tak energicznie poparły to wydawnictwo, że byt jego zdawał się już być zapewnionym. Tymczasem w pierwszym roku zgłosiło się zaledwie 250 prenumeratorów, to jest tylko połowa liczby potrzebnéj do pokrycia kosztów nakładu. Niezrażony tem niepowodzeniem wydawca mniemał, że dopiero całoroczna egzystencja wydawnictwa zdobędzie mu większą liczbę prenumeratorów i byt ustalony. W drugim roku jednakże wydawnictwo pomimo wzorowéj sumienności w dopełnieniu wszelkich warunków, miało już tylko 130, a w trzecim 38 prenumeratorów. Spodziewać się należy, że dzisaj przynajmniéj niezmordowany ten wydawca doczeka się silniejszego poparcia, jeżeli zajęcie się oświatą ludową wytrwa w dzisiejszem stadium.

Pojawiły się już pierwsze zeszyty naszych nowych publikacyi perjodycznych. Dodatek miesięczny do Gazety Lwowskiéj za miesiąc Styczeń, stanowi czteroarkuszową książeczkę i zapełniony jest rozprawami z dziedziny społecznéj ekonomji i historji. Pierwszy numer głośno i szumnie zapowiedzianego Świtu, zawiera na czele niedrukowaną jeszcze dotąd nigdzie pracę A. Mickiewicza. Tryumf proletaryuszów. W rozprawie téj mistycyzm naszego poety odnieść miał świetny tryumf, gdyż ma to być przepowiednia losów Francji i Europy, któréj trafność ostatnie wypadki stwierdziły. Tak przynajmniéj zapewnia nas redakcja we wstępie, który poprzedza ów artykuł. O świcie dzisiaj więcéj nie powiemy czekając na kilka dalszych numerów, które odsłonią charakter i koloryt wyrabiającego się dopiero pisma. Tymczasem zapisujemy spóźniony objaw naszéj noworocznéj produkcji literackiéj. Karol Widman zapowiedział przed kilku dniami wydawnictwo nowego pisma polityczno-literackiego p. t. Rok 1872.

Program tego pisma obejmuje, rozprawy o polityce bieżącéj, Kronikę wypadków politycznych, rozprawy o kwestjach ekonomji społecznéj i statystyki sprawy administracji krajowéj i autonomiczne, sprawy oświaty publicznéj, rozprawy naukowe i literackie, rozbiory dzieł i kronikę literacką, przegląd artystyczny, sprawozdania czynności towarzystw artystycznych, wiadomości o teatrach, a wreszcie wspomnienia historyczne i życiorysy.

Br. Ł.

Pogadanka.

Artykuł pod tytułem *Zapytanie* zamieszczony w zeszłym numerze naszego pisma, obok ważnéj kwestji jakiéj dotyka, mieści malutką przymówkę, któréj przełknąć bez zakrztuszenia niepodobna. Autor czy Autorka, bo mamy pewne dane domysł ten usprawiedliwiające, wyłączając nas od odpowiedzi, zwraca się jedynie do zajmujących się poważniejszą myślą, nie biorących życia za żart ani żartu za życie. Wprawdzie przyczynę tego opiera na przeszłéj naszéj pracy, poruszającéj w każdym niemal numerze kwestją oświaty, pracy kobiecéj, wychowania i potrzeby wskrzeszenia samodzielności zastygłéj w nałogowem wyczekiwaniu, jak pieczone gołąbki same lecieć będą do gąbki: nic to jednak nie przeszkadza abyśmy na rzucone zapytanie, także zapytaniami nie odpowiedzieli.

Przedewszystkiem nasuwa się do myśli dziwna sprzeczność, zachodząca między prywatnym gronkiem czytelników pamiętających to co przeczytali, a urzędowym zastępem krytyków, nie wiedzących o tem co z obowiązku swego znać powinni? Dla czego np. Niwa pomieszczając rozbiór rozprawy pani Elizy Orzeszkowéj p. t. *Słówko o kobiecie*, wyszłéj we Lwowie, nie wiedziała, że to jest tylko przedruk dopełniony z naszego pisma, w którem piękna ta praca utalentowanéj Autorki była drukowaną jeszcze w końcu r. 1870? Dla czego znów inni panowie krytycy tak pięknie rozprawiający o potrzebie sumiennego sądu, o godności jego, sprawiedliwości, bezstronności, wysadzali dowcip swój na podniesienie lada błachostki, lada wierszyka ckliwo-sentymentalnego, artykuliku naszpikowanego westchnieniami, a nie poświęcili ani jednego choćby słówka, pracy tak ważnéj pani Orzeszkowéj, i jedynéj jaka się dotąd w wydawnictwie naszem okazała? Zwyczajnym czytelnikom wolno nie wiedzieć co i kiedy jakie pismo perjodyczne drukuje, krytykom z powagą cenzorów rzymskich, zasiadającym na trójnogu nieomylności, piszącym przeglądy prassy perjodycznéj, jednym zamachem pióra wznoszącym hymny pochwalne orłom o motylich skrzydłach, nieświadomości tego a może rozmyślnego zamilczenia przebaczyć niepodobna.

To drugie jest prawdopodobniejsze. W przeglądach krytycznych prassy perjodycznéj, aby redakcja jaka dostała na wielkość namaszczenie, przedewszystkiem musi nie zawadzać w niczem nietylko interesowi wydawcy pisma, w którym ocena pracy jego ma nastąpić, ale nawet interesowi wszystkich jego krewnych i przyjaciół, bo jeżeli jest inaczéj, to można być pewnym zbicia na kwaśne jabłko, połamania wszystkich kości i żeber, choćby z żelaza i granitu były zbudowane. Powtóre, w krytyku baczącym na te pokrewne i przyjacielskie stosunki, trzeba mieć jeszcze koniecznie osobistego przyjaciela, roztkliwionego pochwalnym czadem swych zasług, wytrawności zdania i bezstronnéj prawdomówności posuniętéj aż do fanatyzmu.

Pozbawiony dwóch tych potęg tegoczesnéj krytyki, ginie jak Szwed w Kampinowskiéj puszczy; zaopatrzony w nie wyrasta nagle na olbrzyma i przeglądając się szczudłom co go dźwignęły, sam się roztkliwia nad swą wielkością, zręczność bierze za zasługę a siebie za wybrańca godnego wieńca anioła.

Dziecinna to zabawka, błędny obrachunek z opinją publiczną, znającą się już dobrze na wartości panegiryków, pragnących być owemi trąbami, dźwiękiem tonów burzących mury Jerycho. W chwili szczęśliwego zwrotu do pracy i nauki, dla czego krytyka sama jedna dotąd nie otrząsła z siebie pleśni zastoju całéj przeszłości?

Wspomnieliśmy o opinji; w niéj po części upatrujemy winę téj wadliwości naszego piśmiennictwa. Wyrobiona silniéj, wydmuchałaby jak kurz i plewy ze zboża, wszystkich pismaków z szeregów pracowników myśli, co pracę, gruntowność sądu nauką wyrobioną zastąpić chcą pustą szermierką słów, sklec oną ze zdań tu i owdzie pochwytanych. Niechby choć raz wystąpiła z całem oburzeniem przeciw podobnemu marnotrawstwu pracy, czasu i zdolności, a perjodyczna nasza literatura otrząśnięta niby drzewo z liści przedwcześnie zepsutych, zakwitłaby nowem życiem godnem jéj przeznaczenia. Na nieszczęście brak nam jéj, nie tyle może jéj samej, jak chęci wypowiedzenia tego publicznie, co ogół zna już dobrze i w rozmowach wyszydza i lekceważy. W kierunku innym, opinja czasami występuje z wielką siłą, stając się nieubłaganym sędzią winowajcy.

W zeszłym roku w jednéj z okolic, majątek pewnego obywatela przez wywłaszczenie, nabyty został na publicznéj licytacji przez pana Y. który będąc wierzycielem coś czwartym z porządku, rad nie rad a nawet wbrew swéj woli przyszedł do kłopotliwego dziedzictwa. W trakcie wszystkich przedwstępnych czynności, pierwszy właściciel zmarł i została wdowa z czworgiem drobnéj dziatwy, osiedlona w Warszawie z resztkami skromnych zapasów, wyniesionych z ostatecznéj majątku ruiny. Pan Y. zacny człowiek położeniem tem biednéj wdowy niezmiernie był zakłopotany, ale cóż było robić? Cios nie z jego wypadł ręki, ratując tylko siebie został dziedzicem. W tem pewnego dnia na podwórku nowo nabytéj włości, zaturkotały koła zajeżdżającego powozu, i wysiadł z niego pan X. znany w okolicy z zamożności. Pan Y. słyszał o nim troszkę, jako więc przyszłego sąsiada przyjął uprzejmie i wprowadził do wnętrza mieszkania.

— Interes wielkiéj wagi sprowadza mnie do was, odezwał się po przedwstępnéj ceremonjalnéj rozmowie. Idzie tu o los biednéj wdowy z dziećmi, pozostałéj po przeszłym dziedzicu tego majątku. Z pewnością prędzéj później czeka ją nędza, od czego bronić ją każe nam nasze obywatelskie sumienie......

— Chętnie i ja wpiszę się w liczbę obrońców, przerwał pan Y. choć w całéj téj sprawie nie jestem winowajcą.

— Wiemy o tem dobrze, ale ja inny mam zamiar jak chwilowe doraźne wsparcie, które koniec końcem ustać musi. Jabym pragnął tak sieroty z matką zabezpieczyć, aby stały się posiadaczami pewnego stałego funduszu, w czem wy jedynie dopomódz nieszczęśliwym możecie.

Pan Y. przyrzekł wszelką ze swéj strony względność, wówczas pan X. oświadczył, że pan Y. majątek kupił bardzo tanio, że przedawszy go z wolnéj ręki, można wziąść ze trzydzieści tysięcy więcéj, otóż on pragnie się tem zająć, majątek odprzedać i otrzymaną przewyżkę wiernie złożyć do rąk wdowy. Pan P. chętnie przyrzekł odstąpienie nabytego majątku, a gdy pan X. dał nadto *słowo honoru*, że w całym tym interesie jedynie ratunek wdowy z dziećmi ma na celu, zaraz na drugi dzień sprzedaż majątku urzędownie dopełnioną została, za summę ostatecznie na licytacji postąpioną. W pół roku później, majątek na nowo został sprzedany i to z grubą przewyżką nie tajną nikomu, pan X. jednak nie spieszył się z wypełnieniem swego przyrzeczenia a gdy po półrocznem daremnem czekaniu, zapytano go wreszcie o powód tego zwlekania, pan X. wykręcał się różnemi przyczynami, wreszcie oświadczył, że cały zysk otrzymany ze sprzedaży powstał z nakładów przez niego porobionych i że skutkiem tego wdowie żadnéj zapomogi udzielić nie może. Żądano zatem rachunków, ale i tych wykołatać nie potrafiono.

Pan X. przyzwyczajony do licznych nawiedzin bliższych i dalszych sąsiadów, ujrzawszy się naraz osamotnionym, w pierwszéj chwili nie przypuszczał nawet, aby to wypłynęło z wyroku opinji publicznéj. Wreszcie może powiedziawszy sobie, nie tak straszny djabeł jak go malują, miał nadzieję, że czas zaradzi wszystkiemu, a sute przyjęcie jedno i drugie we własnym domu, pamięć zobowiązania zatrze bez śladu. Korzystając więc z imienin jednego z sąsiadów ściągających do swego domu całe okoliczne obywatelstwo, pojechał także z aktem uszanowania. Ale niestety! w przedsionku nikt go wysiadającego nie przyjął, na złożone powinszowanie gospodarz nie wyrzekł nawet Bóg zapłać, gdzie się zwrócił z powitaniem każdy się odsunął, nikt nie podał ręki, nikt słowa nie przemówił, w każdem kółku do którego się zbliżył natychmiast ucichła rozmowa, słowem stroniono od niego jak od zapowietrzonego, i pan X choć w licznem i znajomem towarzystwie, ujrzał się

samotnym jak w domu. Zrozumiał wreszcie, że z opinią publiczną żartować nie można, że to sędzia acz sprawiedliwy ale surowy a czasem okrutny, cichaczem więc wyniósł się do domu nawet przed wieczerzą, i tak uczuł okazaną mu pogardę, że rozchorował się obłożnie z małą nadzieją wyzdrowienia. Przyszedł jednak do siebie, a pierwszą czynnością po powstaniu z łoża boleści, było zakończenie rachunków z wdową, wyliczenie otrzymanéj ze sprzedaży majątku przewyżki, i odebrania od niéj pokwitowania.

Opinja więc wiernie spełniła swój obowiązek.

W porze gorzkich żalów opowiedzenie tego zdarzenia we wszystkich szczegółach najprawdziwszego, sądzę że będzie na dobie.

Karnawał przemknął się, bale przyjacielskie ucichły, Tivoli umilkło, pan wice hrabia Caston wyjechał i Warszawa już tylko pociesza się teatrem, zapasami szermierzy w sali Lütgensa i odwiedzaniem muzeum ze zbiorem broni indyjskiéj, rozmaitych starożytności i torturowych narzędzi bardzo słusznie z szaspotami, iglicówkami i kartaczownicami połączonych. Teatr idzie utartym przez siebie torem, szermierze walą się o ziemię że aż podłoga trzeszczy, muzeum straszy widzów toporami, mieczami i gilotynami, jeden tylko p. Caston zdumiewa dotąd swemi przedstawieniami, opieprzonemi cenami wejścia zaledwie dla kieszeni małéj części widzów dostępnemi. Dziwy przez niego okazywane nie są to sztuczki kuglarskie w których zręczność i zgrabne otumanienie najgłówniejsze zajmują miejsce, ale naprawdę dziwy niepojęte i nie rozwiązane nawet prawdopodobnie. Każdy patrząc na nie porusza tylko ramion i kiwa ze zdumieniem głową. Parę tych sztuczek opiszemy, a ponieważ osoby do ich przeprowadzenia użyte należą do wysokich sfer towarzystwa warszawskiego, jakiegokolwiek więc współudziału ich w przedstawieniu, nawet przypuścić niepodobna.

Otóż między innemi p. Caston podał dwom osobom dwie zapieczętowane koperty, prosząc o trzymanie ich w rękach. Następnie prosił widzów o wybranie działu przyrody. Wybrano rośliny, z nich kwiat a z tego różę. Następnie p. Caston zaczął wypisywać liczby dziesiątkami, prosząc aby jedną z nich wybrano.

Wybrano dziesiątkę od 40 do 50 a z niéj oznaczono liczbę 47, przyczem jednocześnie ktoś wymienił 46.

Daléj p. Caston wysypał w obec widzów na krzesełko kości gry w domino, i sześciu widzów wzięło z nich po jednéj według własnego wyboru; następnie podał talję kart JO. Hrabiemu Feldmarszałkowi, prosząc o rozdanie z niéj sześciu kart osobom bliżéj siedzącym, a resztę kart położono na krześle między widzami. Gdy to wszystko dopełnionem zostało, p. Caston poprosił o odpieczętowanie kopert i z pierwszéj odczytano.

Z działów wam przedstawionych obierzecie rośliny, z tych kwiat, a z kwiatów różę.

Po rozpieczętowaniu drugiéj koperty odczytano: *Z liczb wybierzecie 47 z wahaniem czy nie 46. Kamienie wybrane z domina są następujące: dwie szóstki, trójka, dwójka itd. karty są następujące: dziesiątka, ósemka itd. summa zaś punktów tak w dominie jak w kartach wynosi po 47.*

W rękach widzów wszystko tak znalazło się jak w kartce było wymienionem, i summa punktów na wybranych kartach i kościach domina rzeczywiście uczyniła po 47.

W drugiem doświadczeniu p. Caston rozdał cztérem widzom po tabliczce, prosząc o wypisanie na każdéj z nich po dwie daty sam rok bez dnia i miesiąca. Przed wypisaniem jednak p. Caston poprosił na estradę jednego z widzów, i ten przyłożył mu do oczów zmięte w gałkę rękawiczki, daléj płaty waty, a w końcu przywiązał to wszystko trzema grubemi serwetami. Wówczas dopiero na tabliczkach wypisano cyfry i takowe podane sobie p. Caston dwie zatrzymał w pewnéj odległości od głowy, a dwoma drugiemi dotknął czoła prawie w całości powiniętego w serwety. Następnie postąpiwszy na przód estrady, wyliczył wszystkie wypadki historyczne z dziejów Polski i innych zdarzone w ciągu lat wypisanych, wymieniając koleją dokładnie i sam rok na tabliczkach pomieszczony.

Innych podobnych dziwów nie opisujemy, choć było ich mnóstwo równie zdumiewających. W jaki sposób są wykonywane, za pośrednictwem czego p. Caston przemienia się wprawdziwego czarodzieja, odgadnąć ani podobna.

Przegląd literacki.

Wiązanka, zawierająca powiastki, wiersze i opowiadania dla młodego wieku na rok 1871. Zebrana przez Jana Chęcińskiego.

Jest-to jedna z książek zbiorowych trochę staranniéj ułożonych, niż wiele innych tego rodzaju noworoczników, ale też nie ma w sobie nic takiego, coby ją odznaczało—jakąś wyższością: są to dobre miernośći.

Przystąpmy do szczegółów.

Gertruda, ballada (legenda) ma oznaczać ukaraną chciwość, ale już dla tego, że oparta na nieprawdopodobieństwie, jak wszystkie legendy, które Chrystusa mieszają do swoich bajek, chybia celu moralnego, bo nie tylko uważny młodzieniec, ale najmniejsze dziecko powie: „A jakaż to głupia tą Gertruda, że widząc cudownie rosnące ciasto, nie poznała się kto był tego sprawcą." *Uroczyste Nabożeństwo w wiejskim kościołku* wiersz dobry, obrazek wdzięczny, ale nic nowego, jak do nowéj książki.

Dwa historyczne artykuły wzięte z dzieł Szajnochy bez przerobienia, wyborniebу przydały się w *Wypisach* niekoniecznie na szkoły przeznaczonym, jak to dawniéj bywało.

W opowiadaniu podróżnego, przedstawiony jest fakt, jak przez miłość dla ślepego ojca młody wieśniak został okulistą (?) ucząc się w Monachium *przez rok cały i trzy miesiące* (?) Wielkim musiał być mistrzem jego nauczyciel, a jeszcze większym geniuszem uczeń jego, gdy w tak krótkim czasie został okulistą i szczęśliwie dokonał operacji na własnym ojcu, któremu wzrok przywrócił. Tu znów myśl piękna skrzywiona fałszem, bo w półtora roku nawet golibrodą dobrym zostać nie można. Autorowi francuzkiemu spieszyło się bardzo, aby co rychléj *cnota tryumfowała*, naturalnie cudownym chyba sposobem, bo naturalnym mogło wypaść inaczéj.

Stary domek zbyt tendencyjny, aby mógł sprawić wrażenie, sens moralny zbyt naciągnięty.

Chleb, artykuł kompilowany, ale wyborny i odpowiadający w zupełności celowi książki.

Mama synkowi płakać nie każe, i ma wielką racyę, bo mazgaje sobie i drugim są ciężarem.

Opieka grobu, powiastka bardzo zajmująco napisana, ale bez żadnéj praktycznéj myśli, którąby w życiu można zastosować, bo dwa chłopczyki tu występujące, jaskrawo, ale nienaturalnie są naszkicowane.

Dzień szczęśliwy Zosi, szczęśliwie wybrany. *Obrazek zimowy* nie na swojem miejscu *Anioł* z Andersena trochę za ckliwy, chociaż wynagradza to piękną formą. *Treny* w piśmie więcéj literackiem lepiéjby się wydały, tu im za ciasno. *Ostatnia godzina* obrazowo przedstawia tę prawdę, iż szczęściem dla człowieka, że nie wie kiedy umrze. *Rozmowa ojca z dziećmi* i drugi artykuł p. Kühna *O parze jako działaczu mechanicznym* wybornie, dostępnie i zajmująco napisane są istotną ozdobą *Wiązanki*. Takie gawędy naukowe rozciekawiają dziecko, zmuszają do zastanawiania się, do myślenia, i zawczasu zbogacają umysł potrzebnemi w życiu wiadomościami. *Korzyść ze straty*, rzecz drobna, ale dobra, bo ma na celu poprawę tych małych egoistów, których nazywamy porządnemi uczniami. *Święta pani*, przykład wielce budujący, że łagodność i dobroć kobiety najsamotniejsze serce zjednać sobie potrafi. *Mała Amazonka* także służyć może za przykład *bogatym panienkom*, że na kuchni i gospodastwie znać się powinny. *Korzyść ze straty* wspomnienie szkolne wielce może zająć młodego czytelnika, chociaż wybornie obeszłoby się bez hrabiego X. z zamkiem. *Watek*, powiastka (?) jest prawdziwym kwiatem Wiązanki, bo zawiera myśl wyższą wziętą z życia rzeczywistego. P. Marczewska z taktem wywiązała się ze swojego zadania, podawszy w tak zajmującéj formie życiorys znakomitego Słowianafila, uczonego Czecha, Wacława Hanki. *Pokutnik*, monstrualność rymowana. *Tęsknota do wiosny* i *Deszczyk majowy* odznaczają się wdzięczną formą. *Wieki średnie* urywek wcale niezły. *Feliks i Felicja* z talentem napisana powiastka,pełna trafnych, jakby z natury odrysowanych obrazków, szkoda tylko, że autorka dla sprowadzenia zmiany w losie swojéj bohaterki posługuje się tak zużytemi, a tak rzadko wydarzającemi się środkami, jakiemi są wszelkie zapisane w testamencie lub wygrane na loteryi pieniądze. *Babunia*, *Pawełek*, *Motek nici* zgrabne wierszyki pięknym językiem napisane, ale nic więcéj.

Benjamin Franklin nie powiastka, ale wiadomość o tym znakomitym człowieku, i przygoda jego młodości, gdy musiał przyznać się, iż był autorem bezimiennie podawanych artykułów do pisma, które brat jego drukował. Powiastka p. t. *Blondynek* tak ckliwa i cudowna, ze wątpić się godzi, czy dzieci zaraz się nie poznają na tem ocukrzonem lekarstwie. Co do *powinszowań* na końcu Wiązanki pomieszczonych, da się powiedzieć to, co o wszystkich wierszowanych życzeniach, które dzieci jak papugi recytują przed rodzicami i starszemi, że i sensu i rymu rzadko się można w nich doszukać.

Wzięliśmy do rozbioru jedną z lepszych książek dla dzieci, odczytaliśmy ją uważnie i zastanawialiśmy się nad każdą pdjedynczą jéj częścią, i przyszliśmy do przekonania że w całéj *Wiązance* oprócz dwóch lub trzech kwiatów prawdziwych, resztę stanowią jeśli nie pokrzywy i osty, to zbyt pospolite trawy, aby je brać za coś lepszego, niżeli zwykłe siano... Mówiąc bez żadnych metafor, zbiorowa ta książka dla dzieci nie jest złą, ale nie odpowiada dwóm głównym celom takiego rodzaju publikacji, mianowicie kształcenju rozumu i serca. Któryż z artykułów, któraż powiastka, któryż wierszyk odznacza się myślą wyższą, przedmiotem żywotnym, coby na młodym czytelniku silne, niezatarte uczynił wrażenie?

Język mniéj więcéj wszędzie jest poprawny nie grzeszy zwrotami obcemi, ale brak mu naukowego wykończenia, co najlepiéj pokazuje się na błędach ortograficznych i samowolnem oddzielaniu, albo też nie oddzielaniu wcale jednych zdań od drugich. A jeśli gdzie, to w książkach dla dzieci redaktor takiego zbiorowego wydania powinien był jak najtroskliwiéj poprawić wszelkie niedokładności i błędy nie tylko drukarza, ale swoich współ-pracowników.

J. Pracki.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego ul Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 8 r. 1872.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

W parę dni po przyjeździe, szukając sobie podeszłéj towarzyszki do domu, trafiła Elwira na panią Sciańską, osobę niemłodą, dobrze wychowaną, wdowę po zamożnym niegdyś obywatelu, którą jéj zachwalono wielce. Była ono rodem z Galicji i przy pierwszem poznaniu się, gdy rozmowa z powodu choroby nieboszczki zwróciła się na wody, Krynicę, na towarzystwo tam widziane, pani Sciańska dowiodła, że wszystkie osoby te, o których Elwira wspominała, znała dobrze lub wiele o nich słyszała.

W ogóle pani ta, która nie lubiła opowiadać o sobie, w jaki sposób znajdowała się w położeniu z muszającem ją szukać przytułku w cudzym domu, z przeszłości znać miała, rzadką znajomość osób, rodzin, związków, szczególniéj klas zamożniejszych w różnych prowincjach. Żadnego prawie nazwiska nie można było przy niéj wymówić, nie wywołując jakiegoś komentarza i wiadomości o niem. Lecz gdy Elwira parę razy rzuciła pytanie, gdzieby te osoby spotykała, pani Sciańska, trochę zarumieniona, zbywała odpowiedziami nic nie mówiącemi. Osoba była niemłoda, znać dawniéj piękna, ale przed czasem chorobą czy zmartwieniem przybita i zniszczona, żółta jéj cera, gęste zmarszczki, włos miejscami posiwiały pasami, dziwnie się sprzeczały ze wzrokiem oczów czarnych, ognistych i przenikliwych. Zamknięta w sobie, mało mówiąca, zamyślona, ożywiała się tylko, gdy w rozmowie wspomniano osoby, które dawniéj znała, naówczas jakby przeszłość ta, w któréj żyła, ją natchnęła, poruszała się, zapominała o teraźniejszości i odpowiadała z żywością wielką, póki rzeczywistość, wrażenie jakie obecne, ust jéj nie zamknęło.

Pani Sciańska przystała na wszystkie warunki, obiecała się zastosować do Elwiry zupełnie i jak najmniéj jéj zawadzać. Znać było, że gotowa była spokojny i wygodny przytułek jak największą powolnością i ofiarą opłacić. Gdy się po ugodzie sprowadziła do domu, Elwira poznała z łatwością po tem, co z sobą przywiozła, po szczątkach wytwornych a zniszczonych dawnéj zamożności, przeszłość szczęśliwszą i ubóstwo tajone, niezmierne. Z wielką wprawdzie sztuką umiała ona maskować tę złoconą nędzę, ale bystrzejsze oko natychmiast jéj dostrzedz mogło.

We dwa czy trzy dni po przybyciu, gdy Elwira spodziewała się, że się do niéj zbliży, że zwolna poznawać ją lepiéj zacznie, przekonała się ze smutkiem, iż głąb téj zranionéj duszy na wieki był dla niéj i wszystkich zamknięty. O sobie nigdy ani słóweczka, ubocznie nawet unikała wzmianki o tem, gdzie była, zkąd wyszła, co ją do tego stanu przywiodło. Smutna, cicha, pokorna siadała sobie w kątku z robotą, która jéj ręce zajmowała, oczy wlepiała w swą kanwę lub pończochę i zdawała się ani widzieć, ani już słyszeć, co się do koła niéj działo. Budzić ją było potrzeba, gdy się o co pytano, odpowiadając wraca jakby z innego świata, powoli oprzytomniając. Elwirze żal jéj było zarazem i uczuła, że wygodnie z nią być może, osoba dobrze wychowana, w codziennem pożyciu nie raziła żadną z tych form dziwacznych, które w starszych są jeszcze przykrzejsze niż w młodzieży. Umiała się zastosować do każdego towarzystwa, do humoru, do smaków, byle tylko jéj dozwolono zawsze być gościem, świadkiem, a nie wymagano zbliżenia sercem i duchem do obcego jéj już świata.

— Ha, rzekła poznawszy ją lepiéj Elwira, może tak lepiéj, jesteśmy z sobą, a nie ciężym sobie, gorszą by była osoba chcąca się wcisnąć wszędzie i we wszystko. Biedna kobieta znać wycierpiała wiele, dziś chce dożyć tylko do końca w ciszy, bez głodu i w niezbyt odrażliwem towarzystwie.

Do wyboru na wieś pani Sciańska była Elwirze bardzo przydatna, widocznem było, iż długo mieszkała na wsi i w dostatku, wiedziała, czego dom wymagał, smak miała wykształcony. Całe więc dnie biegano po różne sprawuneczki i sierotę rozrywało to staranie. Z prawdziwą radością powitała też zdjęcie szyldu i imienia matki i swego z ulicy, czuła, jakby wystąpiła ze służby i odzyskiwała swobodę. Czas upływał niezmiernie szybko. Jednego dnia, gdy Elwira rachunkami zajęta nikogo nie przyjmowała, a Sciańska siedziała z książką w salonie, ze swego pokoju posłyszała pani domu, że kogoś meldowano i nieprzyjęto. Znajomych miała mało, wiedziała, że gdyby nadjechał Szczęsny, nadszedł kto z dawnych matki przyjaciół, tego by pewnie wpuszczono. Nie ruszyła się więc do obiadu ze swojego pokoju, a gdy do stołu poszły, spytała Sciańskiéj kto był z gości.

Ta podniosła oczy czarne, i leżący przy sobie bilet podała Elwirze. Na bilecie stało.

Monsieur Stanislas de Greifer.
Docteur en droit.

U góry majaczyło coś niewyraźnego, co z biedy za jakiś niby herb wziąć było można.

Elwira zarumieniła się i ruszyła ramionami.

— To pewnie z Krynicy znajomość, szepnęła towarzyszka.

— Zgadłaś pani, bez ogródki odpowiedziała Elwira, i nie należy ona do najprzyjemniejszych.

— Bardzo przyzwoity człowiek, rzekła Sciańska, i przyjmowany w najlepszych towarzystwach, do których jego rodzina wszakże nie należała nigdy. Ale u nas kto umie wnijść do salonu, puszczonym pewnie będzie.

— Zna pani może i jego rodzinę? z uśmiechem dodała Elwira, bo pani, jak widzę, zna wszystkich.

Sciańska błysnęła okiem, zamilkła jak dla namysłu, potem z cicha dodała: Mało ich znam, ale słyszałam, słyszałam. W świecie jakoś, gdy się dłużéj żyje, a ma trochę pamięci, mimowoli tyle się rzeczy chwyta. Sądzę, że Greifer pochodzi z krakowskich mieszczan, ale mają posiadłość ziemską, są jeśli nie bogaci, to dostatni, stosunki bardzo piękne. Matka podobno żyje, o ojcu, przyznaję się, nie wiem.

Matka, kobieta bardzo pospolita. Dobra, poczciwa, ale wiem, że ją nazywano Klucznicą.

Powiedziawszy to, pani Sciańska zamilkła nagle i jakby zamykając rozmowę, odezwała się: — Zresztą któż tam bliżéj wie ich domowe stosunki. Główniepan Stanisław dopiero wszedł w lepsze towarzystwo, ojciec się jeszcze dorabiał niezależności.

Na tem skończyła się rozmowa chwilowo.

— Czy, gdyby przyszedł, pani zechce przyjąć Greifera? czy...

— Ja bo nie wiem, czy przyjdzie i wątpię o tem, namyślając się rzekła Elwira. Grzeczność kazała mu, będąc w Berlinie, bilet wyrzucić, zresztą...

— Ale gdyby przyszedł?

Elwira, nie miała najmniejszéj ochoty widzieć go, przyjmować i do domu wpuszczać, jedna tylko okoliczność przemawiała zatem. Greifer był człowiekiem, od którego mogła się dowiedzieć o Pilawskim. Mimo wiadomości groźnych o jego zdrowiu, czuła, że żyje, a nie mogła przypuścić, by umarł. Greifer mógł jéj coś powiedzieć o nim, mogła się choć dorozumieć czegoś z jego rozmowy. Zamyśliła się więc długo.

— Wie pani, rzekła zadumana, doprawdy nie wiem sama, jak sobie postąpić, nie mam wielkiéj ochoty go przyjmować, a miałabym powody znowu żądać go widzieć. Waham się, sama nie wiem.

— Nie znając stosunków, szepnęła Sciańska.

— Parę razy był w naszym domu, stosunki bardzo małéj i krótkiéj znajomości, lecz mógłby mi powiedzieć o osobach, które spotkałam w Krynicy, a które mnie więcéj obchodzą. Czy pani go zna osobiście?

— Trochę, bardzo mało. Więcéj ja jego, niż on mnie, szepnęła Sciańska. — Czybyś pani życzyła może, abym ja go przyjęła i zapytała o co i o kogo?

— A, uczyniła byś mi pani łaskę, o którą nie śmiem ją prosić, zakłopotana mówiła Elwira. — Widzisz pani, zdaje mi się, że... że Greifer miał pojedynek z młodym człowiekiem, który bywał w naszym domu. Oba z niego wyszli rannemi, tamten podobno niebezpieczniéj.

— Pani by chciała wiedzieć, co się z *tamtym* stało? — obojętnie zapytała Sciańska.

— Chciałabym wiedzieć, a nie życzę się pytać, — dorzuciła Elwira rumieniąc się.

— W każdym razie mnie by to może łatwiéj przyszło, niż pani, rzekła Sciańska. — Ale czy wypada, abym ja go sama przyjmowała? Przepraszam, że się ośmielę uczynić uwagę. zdaje mi się, że najwłaściwiéj by może było, abym ja przyjęła go, w oczekiwaniu na przyjście pani, które mu przyrzeknę. Pani się spóźni, ja go trochę wybadam, a potem zbędzie się go kilka słowami, oznajmię mu, że mamy gdzie jechać lub coś podobnego.

Elwira ścisnęła wychudłą rączkę towarzyszki, która się smutnie uśmiechnęła i skłoniła. — A, tak, tak, to będzie doskonale, najlepiéj. Pani mi uczynisz największą łaskę.

— Proszę pani, cóż za łaska, to spełnienie obowiązku. Po cóż bym tu była, gdybym pani w niczem dopomódz nie umiała.

Po téj rozmowie czekano trochę Greifera, rzeczy były ukartowane, ale nazajutrz się nie zjawił. Trzeciego dnia w godzinę wizyt, oznajmiono o nim.

Elwira się wysunęła. Kazano go prosić.

Ubrany niezmiernie starannie, wyświeżony, z głową widocznie świeżo z rąk fryzjera wypuszczoną, wsunął się młodzieniec, nie bez wzruszenia przestępując próg tego domu, i znać twarz pani Sciańskiéj jak głowa Meduzy nań podziałała, bo ujrzawszy ją, aż cofnął się, prawie oczom nie wierząc. Ta stała w środku salonu z wielką powagą, i zdawała się twarzą nakazywać przychodzącemu milczenie. Malowało się w jéj rysach trochę trwogi jakiejś niezrozumiałéj.

— Ah, cóż za niespodzianka, zawołał po chwili wychodząc z podziwu Greifer, pani tu?

— Tak jest, ja sama i proszę się temu nie dziwić, odezwała się stłumionym głosem Sciańska, wszak tak mało miałam przyjemność i znać pana, a pan mnie też zaledwie z nazwiska.

— O, nie pani! zaprotestował Greifer.

— Ale tak, tak jest, z przyciskiem rzekła kobieta wskazując kszesło. Siadaj pan, dopóki panna Domska nie nadejdzie. Greifer siadł, oczyma jako kawaler na wydaniu szukając zwierciadła, szło mu o włosy czy się nie rozrzuciły, pomimo tego ruchu oczów i głowy, znać było, że go siedząca naprzeciw kobieta niepokoiła i dziwiła.

— Słyszałam, odezwała się żywo Sciańska, żeś pan miał przypadek.

— Przypadek? Nie, pojedynek w którym byłem ranny.

— Pojedynek! Ah i z kimże, z kim?

— Z pewnym wielkim nieznajomym z Warszawy, dodał Greifer szyderską zagadkową figurą.

— Byłeś pan ranny?

— Mocno w rękę, szczęściem udało mi się wyjść z tego.

— A pański przeciwnik?

— Raniłem go też dosyć mocno.

— Wyzdrowiał? żywo egzaminowała Sciańska.

Greifer nagle umilkł, popatrzał na stół, namyślać się zaczął.

— Niech się to pani śmiesznem nie wyda, co powiem... rzekł, wyjechałem z Krynicy przed tym panem, i doprawdy o losie, jaki go spotkał, nie umiałbym dokładnie powiedzieć.

— Jakto, ale żyje?

— Nawet tego nie jestem pewny, bo był w wielkiem, wielkiem niebezpieczeństwie. Teraz z kolei kobieta zamilkła. Greifer śmiało się przysunął ku niéj z krzesełkiem nieco i począł cichuteńko.

— Pani dobrodziejko, widzę, że pani tu zastępujesz miejsce matki, że masz zaufanie i wpływy. Czy jako ziomkowie, nie moglibyśmy się porozumieć?

Na twarz żółtą pani Sciańskiéj pomarańczowy wystąpił rumieniec, oczy jéj zapaliły się, ale wnet i czerwoność ta znikła i powieki okryły źrenice.

— Ja się kocham w pannie Elwirze, ja... pani się domyśli...

— Ale ja się do niczego w tym domu nie mięszam.

— Proszę pani jak ono jest, to jest, brutalsko dodał Greifer, ja też mógłbym być pani użytecznym, lub (czego Boże uchowaj), szkodliwym.

Oczy podniosły się z gniewem.

— Słowo pani daję, szeptał Greifer, umiałbym być bardzo wdzięcznym i... milczałbym, jak kamień...

Sciańska słysząc to zrazu porwała się z siedzenia, potem na nie padła, upokorzona, złamana, zabrakło jéj głosu.

— Wierz mi pan, rzekła, że, że ja tu nic nie mogę, i zupełnie jestem obcą.

— Ale pani tu jesteś, siłę uzyskać zależy od niéj tylko, i przypuścić niepodobna, aby osoba tak... tak wysoce wykształcona, tak doświadczona, jak pani, nie potrafiła dokazać, co zapragnie.

Pani Sciańska siedziała jak na mękach. Zamiast odpowiedzi rzuciła pytanie.

— Więc pan nie wie o losie swojego przeciwnika? To nie do pojęcia, boć przecie, mogąc mieć życie ludzkie na sumieniu, starać się było dowiedzieć...

— Na sumieniu? bynajmniéj, odparł Greifer, gra była nierówna, bo tamten lepiéj strzelał ode mnie. Raniłem go, to moje szczęście, cóż mnie zresztą obchodzi, co się z nim stało?

— Mów pan prawdę, to zawsze najlepiéj. Cóż, czy umarł?

— Szczerze mówię, że nie wiem... Mógł umrzeć, to pewna, ale może i żyje. Nie chciałem i niespieszyłem się dowiadywać.

— Bądź pan szczerym, sucho dodała kobieta.

— Szczerze mówię, niczego pewny nie jestem.

— Więc umarł, cicho szepnęła Sciańska.

Greifer udał zakłopotanego, ruszył ramionami, nie odpowiedział nic, dozwalał się domyślać. Rachował, że w ten sposób rzucając wątpliwość, mógł, na tamten świat usuwając współzawodnika, plac sobie oczyścić, bo kłamać wyraźnie nie chciał.

Umówionem było między Elwirą a Sciańską, że gdy rozmowę dokończy, da jéj znać kaszlaniem, o co trudno nie było, bo biedna kobieta często bardzo miewała paroksyzmy podobne.

Zakaszlała więc pani Ściańska. Greifer siedział, wpatrując się w nią, zamyślony, kombinując o ile i jak będzie mógł ze szczęśliwego trafu, który tu umieścił dobrze mu znaną osobę, skorzystać.

Właśnie miał usta otworzyć, chcąc się układać znowu, gdy drzwi się uchyliły i Elwira narzucając jeszcze szal na ramiona, jak gdyby wyjść spieszyła ukazała się w progu. Greifer wstał szybko i zbliżył się na kilka kroków do niéj, układając minę i postawę kondulencyjną.

— Bardzo przepraszam, żem wyjść nie mogła.

— Przybywszy do Berlina, nie mogłem się powstrzymać, bym pani nie złożył uszanowania, odezwali się prawie razem.

— Znajdujesz mnie pan w żałobie po najlepszéj z matek, rzekła Elwira cicho.

Usiedli, pani Sciańska spuściła oczy na swoją robotę, milczenie trwało chwilkę. Rozmowa trudna wszczęła się od rzeczy trywialnych, a toczyła o obojętnych. Greifer był nadskakująco grzeczny, czuły i napastliwie cisnący się do bliższéj znajomości. Elwira zimną i obojętną. Ile razy trochę poufaléj, szczerzéj poczynał pan Stanisław, sprowadzała rozmowę na coś zupełnie obcego i ogólnego. Naostatek pani Sciańska widząc, że się Elwira męczy, wstała i rzekła.

— Ale godzina, w któréj miałyśmy jechać...

— Ah, przepraszam, mimowolnie stałem się przeszkodą do spełnienia jakiegoś projektu, więc żegnam. Może będę mógł to sobie wynagrodzić.

Nie odpowiedziano mu nic, pożegnano zimno i wyszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, Elwira gorączkowo, pospiesznie przybiegła do Sciańskiéj.

— Cóżeś się pani dowiedziała?

Towarzyszka zagryzła usta, wahała się chwilę, pomiarkowała, że złowieszczą smutnéj nowiny być niepowinna. Ah pani, zawołała, nie mogłam nic na nieszczęście dobyć z niego. Powiada tylko, że był chory, ale co się stało, nie wie.

— Nie wie? To być nie może! krzyknęła Elwira. To nie może być, powiadam pani! To mówiąc chwyciła się za serce i padła na krzesło, ale wnet miarkując że się z uczuciem zdradziła, wstała.

— Nie pojmuję, żeby mógł nie wiedzieć, nie chcieć się dowiedzieć, to nie naturalne.

— Ja to także znajduję, lecz powiedzieć nic nie chciał, chociażem go badała parękilkakroć.

— Cóż pani z tego wnioskuje? gorąco poczęła Elwira. Znasz pani ludzi lepiéj ode mnie, to leży jak na dłoni, iż nie mógłby zostać w niewiadomości, dla czego powiedzieć nie chce?

— Pani możesz lepiéj to ode mnie odgadnąć, cicho odezwała się Sciańska, ja stosunków nie znam. Elwira zaczęła się przechadzać po pokoju zadumana, niespokojna.

— Powiem pani otwarcie, rzekła stając i patrząc na Sciańską, myślę, iż wolałby może, aby umarł, więc.... w głowie mi się mąci... pani mi nie chcesz powiedzieć zapewne, ja proszę o całą prawdę.

— Nie kryłabym, ale mi nie powiedział stanowczo, nie.

— Czy by w ten sposób chciał mnie zmusić, abym go jeszcze raz przyjęła? odezwała się energicznie brwi marszcząc Elwira. To być może, lecz się omyli. Jestem ciekawą, a pomimo to widzieć go nie chcę i nie będę. Pani raczysz rozkazać, aby mu drzwi moje były na zawsze zamknięte.

Ściańska z błyskiem radości w wejrzeniu posłyszała te wyrazy.

— Tak najlepiéj jest, rzekła cicho, niech mi pani tylko powie, imię i nazwisko tego, o kogo jéj idzie, napiszę do Galicji.

— On z Warszawy.

— A więc do Warszawy, i dowiemy się łatwo.

— Nie, nie, nie zważając na towarzyszkę, głośno poczęła Elwira, to być nie może. On nie umarł, Bóg nie może być niesprawiedliwym, nie mógłby ocalić tego (wskazała na drzwi ze wzgardą), a jemu kazać ginąć.

Sciańskiéj usta skrzywiły się, jakby do ironicznego uśmiechu, udała, że nie słyszy, spuściła oczy na robotę, a po chwili, jakby unikając dalszych zwierzeń, rozpoczęła mówić o czemś obojętnem, Elwira zrozumiała to, wzięła książkę ze stołu i zamilkła.

W kilka dni po powrocie do Warszawy, Pilawski, który po podróży uczuł się gorzéj i z porady lekarza musiał jakiś czas w domu pozostać, usłyszał dzwonek u drzwi, służący oznajmił mu wcale niespodziane odwiedziny, jednego przyjaciela, z którym widywali się bardzo rzadko. Tym przyjacielem, a towarzyszem uniwersyteckim był mieszkający na wsi zwykle, w majątku swoim hrabia Ernest Z...

Wiek, podobieństwo charakterów, jedne upodobania, jednaki myślenia sposób zbliżyły ich do siebie jeszcze w Berlinie, gdy hr. Ernest nie wiedział o Pilawskim nic więcéj nad to, że był chłopiec dobrze wychowany i majętny. Lecz że mieszkali w jednym kraju, Gabriel taić przed nim swego położenia ani chciał, ani mógł. Wystawił przyjaźń młodą na tę próbę, wyspowiadał mu się szczerze, i po spowiedzi Ernest, śmiejąc się uścisnął jego rękę. W tem kole, do którego należał, był hrabia wyjątkową istotą. Wprawdzie cała jego rodzina odznaczała się niezwykłemi, w sferze z któréj pochodziła, przymiotami serca i umysłu, ale Ernest w téj rodzinie był perłą i klejnotem. Wielka a głęboka nauka, czystym płomieniem swym wypaliła, jeśli jakie były, resztki pojęć fałszywych i przyjętych w świecie przesądów. Ernest patrzał w świat zdrowo, nie łudząc się, oceniał ludzi z tego, czem byli rzeczywiście, i choć hrabia kochał tego krawczyka, jak go żartem nazywał, gdyby brata, widywali się rzadko, ale byli z sobą serdecznie. Poufałość między niemi zrodziła się nie z pokuszeń o nią Gabriela, lecz nalegań poczciwych, serdecznych hrabiego. Od czasu, jak się znali, byli z sobą codzień prawie, żadna najlżejsza chmurka nie zaszła na ich stosunek braterski.

Gdy Ernest wpadł, biegnąc uściskać Gabriela, z rozpromienioną twarzą, Pilawski wskazał mu zdala rękę. Hrabio, ręki nie dotykaj, rzekł, jestem ranny.

Ernest osłupiały stanął. Ranny, i na polowaniu, czy na kolei? Cóż ci się stało?

Uścisnęli się. Gdzie tam, rzekł Gabriel, w pojedynku.

— Ty? ty w pojedynku? z kim, gdzież, na miłość Boga, mów.

Pilawski z zimną krwią całą swoją historją opowiadać mu zaczął. Przyjaciel się zżymał.

— Przepraszam cię, rzekł, źle zrobiłeś, źle, źle.

— Cóżem złego zrobił?

— Na twojem miejscu wcale bym się nie taił z sobą, z powołaniem, z niczem. Bądź pewny jednéj rzeczy, że osoba, która poznawszy cię, zrazi się tem, iż na chleb zarabiasz pracą taką, a nie inną, nie jest ciebie wartą. Pozwalam na to, że stęskniony za lepszem towarzystwem mogłeś w pierwszéj chwili grać kawałek komedji, ale w drugiéj scenie trzeba ci było bardzo jasno i dobitnie wyznać, żeś krawiec. I po wszystkiem.

— Ale, kochany Erneście, jam się zakochał! Ja, ja się obawiam.

— Jakto? Tak zakochał, że gdyby twoja pani żądała od ciebie apostazji i zaparcia się stanu i powołania...

Pilawski spuścił oczy.

— Nie, nie, nie, dałem słowo staremu ojcu przybranemu i wytrwam! Muszę! Nie wymagał tego odemnie, dobrowolniem mu przyrzekł, dotrzymam.

— Więc po cóż taić się było?

— Ah, hrabio, cicho rzekł Pilawski, ażeby zyskać na czasie. Słaby byłem, kradłem trochę szczęścia. Te panie...

— Któż są te panie?

— Nie wiem właściwie, ale wydały mi się majętnemi Wielko-polankami, gdzieś z Księztwa. Szczególna rzecz. Chociaż starałem się dowiedzieć coś o nich więcéj, nie mogłem. Znać było tylko, że są bardzo majętne, i że to coś z uprzywilejowanego świata.

— Kochanie moje, przerwał hrabia, przysięgnę, że się mylisz. Najświętsze niewiasty, ale gdyby miały stosunki świetne, choćby najdalsze, wyspowiadały by ci się z nich, to ludzka rzecz. Jeśli się niemi nie chwaliły, znać nie miały czem, przysięgam.

— Rzeczywiście, to uwaga bardzo trafna, zawołał Gabriel, ale któż one być mogą?

— Kto? zaśmiał się hrabia. Mój drogi, żyjemy w dziewiętnastym wieku. Pieniądze robią się za pomocą parowych machin, odwagi, oszczędności i szczęścia. Przystęp do miejsca, zkąd się one sypią, niemal dla wszystkich otwarty. Nabywszy pieniądze nabywa się polor, glans, wychowanie, szyk, wszystko, co do nabycia jest dziś, i czego zapragniesz. I jakże ty chcesz odróżnić rodzinę dorobkowiczów od naszych starych szlachty a panów?

— Ależ typ dorobkowiczów!

— Wiek XIX, typy się naśladują, gdy kto ma wiele sprytu, rzekł hrabia. Nic podobniejszego do zbogaconego przyzwoitego żyda nad pana nadrujnowanego. Żydzi przybierają miny pańskie, a panowie dobrowolnie żydowskie. Bankierowie i ministrowie dają się sprzęgać do pary. Kobiety mają z natury większą jeszcze łatwość naśladowania tonu i obyczaju, dla czegoż twoje Domskie, o których rodzinie nikt pono nigdy nie słyszał, mają koniecznie być *trés nobles dames*, mogą pochodzić z lędźwi jakiego dawnego proletarjusza, który, przepraszam, był entreprenerem oczyszczania ze śmieci ulic Berlina.

— Gdyby tak było, ach, wierz mi hrabio, byłbym, byłbym, najszczęśliwszym!

— I zdaje mi się, że nim będziesz, dodał Ernest, bo znaczniejsze rodziny znamy.

— Znaczniejsze. Szlachty jak maku! zawołał Pilawski, gdy, wybacz, pognój złota padnie na rolę zasianą szlachcicem, w jednéj chwili wyrasta pan z antenatami!

Ernest się rozśmiał. To prawda! rzekł. Szlachty myrjady. Dunczewski ich nie spisał, Kapica nie dokompletował, wszystko to były wysadki na arystokrację, w złotéj kołysce prędko wyrastającą. To ci się udało. Pomimo to, ja oponuję przeciw domysłowi z tego powodu, że szlachta siłę do wydźwigania się, pracy do odrobienia tego co potraciła, postradała. Ginie jéj tysiące, nie ma prawie przykładu, by od pni spruchniałych co puściło. Ale zbiliśmy się z drogi, wracajmy więc do przedmiotu, dodał hrabia, trzeba jechać do Berlina, szukać, dowiadywać się, śledzić, wnijść nie kryjąc się z sobą do domu ich, a jeśli wzdrygną się na rzemieślnika i kupca, no to sobie wybić z głowy tę miłość, kochany Gabrielu.

— Z głowy wybił bym ją łatwo, rzekł Pilawski ponuro, niestety siedzi ona w sercu, a ztamtąd ją wyrugować trudno. Są z pewnością różne miłości rodzaje; te co się palą w głowie słomianym ogniem, gwałtownie płoną i prędko gasną, w zacisznem sercu uczucie się chowa dłużéj.

— I nie trzeba nigdy narzekać na ten dar Boży, odparł hrabia Ernest, nieszczęśliwi kochankowie politowanie wzbudzają. Szczęśliwy, kto się kochać może, chociażby całe życie miał wzdychać nadaremnie. Rzeczywiście biednym jest ten, kto nie może, nie umie i nie chce kochać. Temu życia nie zazdroszczę.

Po tych pierwszych wyznaniach, długo jeszcze rozmawiali z sobą, a Pilawski opisał hr. Ernestowi swą scenę z tą piękną panią Palczewską, która mu przebaczyć nie mogła, że się tak na nim oszukała.

Hr. Ernest znał ją nieco, śmiał się serdecznie i nie dziwił bynajmniéj. Przesiedzieli tak z sobą cały dzień. Pilawski, gdyby nie rana i nie zakaz doktora, natychmiast chciał się wybrać na zwiady. Zwlekało się to jednak od dnia do dnia i przeciągnęło dosyć długo, naostatek uparta ręka znowu jakoś wymagała spokoju i Pilawski niecierpliwił się tak bardzo niemożnością wyjechania, że dobry przyjaciel hr. Ernest jednego dnia odezwał się do niego:

— Jak się masz tak bardzo niepokoić, wiesz co, puść mnie, ja pojadę na zwiady. Dowiem ci się przynajmniéj, co są te panie i jak tam słychać? Któż wie, może nie będziesz miał jechać po co? Może Greifer cię uprzedził?. Naówczas lepiéj byś jéj nie widział i nieodświeżał wrażenia, którego się pozbyć potrzeba.

— Myśl ta uśmiechałaby mi się bardzo, zawołał Pilawski, ale, ale, ale będę zazdrosny.

— O kogo? o mnie? rozśmiał się Ernest. Ja przecież nie dopuszczę się zdrady, bądź pewny.

Pilawski zamilkł, hr. Ernest nazajutrz przyszedł się z nim pożegnać, jechał do krewnych w Poznańskie i zaręczył, że pewnie nawet w Berlinie nie będzie.

Dobre serce hr. Ernesta chciało przynieść ulgę jakąś przyjacielowi. Ruszył zawczasu układając, jakby się najzręczniéj dowiedzieć o Domskich, a że domyślał się pochodzenia rodziny z Poznańskiego, wybrał się naprzód do krewnych w Poznańskie. Traf szczególny zrządził, że na wsi będąc u stryjecznego brata, znalazł się tu w chwili, gdy zwołany był do bliskiego miasteczka zjazd jakiś gospodarsko-spółkowy dla narady o wystawie, o kasach i o różnych interesach ogólnych prowincji. Brat, który był nieżonaty, pociągnął go z sobą. Posiedzenie zwołane było, jak zwykle do najporządniejszego z domów zajezdnych, ale niewiele się osób znalazło, bo jakoś i strzyża owiec i zasiewy wiosenne, i różne powszednie kłopoty przeszkadzały. Narady do skutku nie przyszły dla braku potrzebnéj ilości członków, ale obiad się zjadło w wesołem kółku i pogawędziło. Wiernych powołaniu na zjazd znalazło się tylko osób kilka, między temi naturalnie dziadunio Szczęsny, który w spełnianiu tego rodzaju obowiązków, nawet od dystrakcji był wolnym. Oburzał się on przeciwko absenteizmowi współobywateli i był tego zdania zaraz żeby ich stawić pod pręgierz opinji publicznéj. Szczęściem śmiechem to pokryto. Hrabia Ernest pierwszy raz w życiu widział Szczęsnego i bardzo mu się stary podobał. Przylgnęli do siebie.

— Mój mości dobrodzieju, mówił Szczęsny, to my starzy jeszcze na zawołanie wszędzie. Stary wszędzie, a ta młodzież nic sobie z najważniejszych kwestji nie robi, śmieją się jeszcze z gorliwości naszéj.

— Widzi pan, odparł Ernest, młodzi mają dużo na sercach i głowie, jak postarzeją, to się poprawią.

— E! djabła tam, rzekł Szczęsny, nie mam nadziei.

Tak się zawiązała rozmowa. Ernest począł o różnych rodzinach, o nazwiskach, o ludziach nowych, i tak zręcznie, będąc pewnym, że stary cały świat znać musi, doszedł do zapytania o rodzinę Domskich. Stary się wstrząsnął cały.

— Domskich? jakich Domskich? podchwycił gorąco. Albożeś hrabia znał kogo tego nazwiska?

— Ja, nie, ale dobry mój przyjaciel, poznał właśnie przeszłego lata w Krynicy.

— A no, no, matkę z córką. Elwirę, tę, rozśmiał się Szczęsny, czy hrabiemu kto powiedział, że to przecie moja pupila i jakaś tam wnuczka.

Hrabia aż w ręce plasnął. Nie może być?

— Ale tak jest, tak jest! Lepszéj o nich informacji nade mnie nikt dać nie może.

Ernest przysiadł przy starym, ale uznał potrzebnem obojętnego udawać.

— Ja, uchowaj Boże, ani mam prawa, ani ochoty żądać informacji. Słyszałem tylko, rzekł, od przyjaciela mojego o pannie Elwirze, którą nadzwyczaj wychwalał.

— Ale bo słusznie, zawołał Szczęsny, który w pupili swéj był zakochany, to ideał, mości dobrodzieju, panny skończonéj, utalentowanéj, pięknéj, rozumnéj, a w dodatku, co nigdy nie szkodzi, parę kroć stotysięcy talarów.

Ernest się przestraszył.

— Wiem najlepiéj, co ma, bom inwentarz po matce, która właśnie zmarła, robić musiał i oto kupiłem dla niéj śliczny majątek Studzienne, i jeszcze się nam został kapitał.

Hr. Ernest już dłużéj wypytywać nie miał ochoty, i nie byłby się też dowiedział nic, bo Szczęsny miarkując z pośpiechu pupili w nabyciu ziemskiego majątku, iż o przeszłości miejskiéj wolałaby zapomnieć, obcemu ani by o niéj napomknął. Owszem sam stary dodał jeszcze, iż ojciec nieboszki Domskiéj był bardzo zamożnym i wziętym obywatelem, że rodzina blisko mu pokrewna należała do prastarych w księztwie. O mężu pani Domskiéj nie było słowa!

— Ale wiesz hrabia co, dodał stary po chwili, jeśli jesteś ciekawym, dla przyjaciela, czy dla siebie, mojéj pupilli, ja jutro muszę jechać do Berlina, jedź ze mną. Poznasz mój klejnot i przyznasz mi, że takich panien ze świecą dziś szukać. Hrabia zawahał się nieco, lecz po namyśle, rzekł: Miałem ja być w Berlinie, a gdy mi się tak miły towarzysz drogi trafia, czemuż bym nie skorzystał.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

— Zawdzięczam panu, rzekła Edyta kłaniając się z godnością Carkerowi, oswobodzenie mię dzisiejszego poranku od przykrego natręctwa jakiejś żebraczki.

— Szczęśliwa moja gwiazda, odparł z głębokim ukłonem, nastręczyła mi sposobność wyświadczenia w tym razie małéj dogodności osobie, któréj służyć uważam za zaszczyt.

— Cieszy mię to niewymownie, rzekł Dombey z nieco sztywną zalotnością, że ktoś będący ze mną w tak bliskich stosunkach, miał szczęście stać się użytecznym pani Granger. Załuję jednak niewymownie, że nie miałem szczęścia znaleźć się wówczas miejscu pana Carkera.

Przy tych słowach Dombey spojrzał na Edytę, a ta podziękowała mu wymuszonym uśmiechem i lekkiem skinieniem głowy.

— Na honor moi państwo, zawołał major rozpromieniony widokiem półmisków które wnosił służący, nie rozumiem dla czego nie wolno nam do podobnych włóczęgów, strzelać jak do bekasów lub za jęcy?

Ale oto ramię moje które ofiaruję pani Granger, w przekonaniu że jak na teraz, nie mogę przysłużyć się jéj lepiéj jak prowadząc ją do stołu.

To mówiąc, podał rękę Edycie, Dombey poprowadził panią Skewton, a Carker poszedł za niemi, sam jeden wprawdzie, ale w duchu bardzo ucieszony.

— Cieszę się mocno, rzekła do niego przy śniadaniu Kleopatra, żeś pan tak w porę tutaj przybył. Zrobisz z nami najromantyczniejszą w świecie wycieczkę.

— Każda będzie mi uroczą w takim towarzystwie odpowiedział Carker. Ale sądzę, że ta którą dziś mamy odbyć, będzie ze wszystkich najprzyjemniejszą.

— Ach! cóż to za przecudny zamek, ów Warwick! zawołała z zachwyceniem pani Skewton; — ileż tam zabytków z średniowiecznych czasów, owych czasów tak pełnych wielkości i chwały! Jakże od nich wieje wszechwładny czar poezji!

Mówiąc to pani Skewton nie spuszczała ani na chwilę z oka Dombeya, on zaś patrzał ciągle na Edytę, słuchającą słów matki z wzrokiem spuszczonym ku ziemi.

— Jesteśmy dziś straszliwie zmaterjalizowani, wszak prawda, panie Carker? rzekła smutno Kleopatra.

Naczelnik wydziału podzielił to zdanie w zupełności i niemniéj ubolewał nad upadkiem ludzkości.

— Są także w okolicach zamku cudowne krajobrazy, mówiła daléj pani Skewton. Jestem pewna że pan bardzo lubisz piękne widoki?

— Mogę panią zapewnić, odezwał się Dombey udzielając łaskawie podwładnemu swojéj protekcji, że Carker zna się wybornie na krajobrazach. Sam nawet wcale nie źle maluje i z pewnością potrafi ocenić talent pani Granger.

— Tam do licha! panie Carker, zawołał major; widzę że nie ma rzeczy która byłaby ci obcą.

— Nadto przychylnie mię pan oceniasz, odrzekł Carker z pokorą. Tylko łaskawe ocenienie pana Dombeya, o mało znaczących mych wiadomościach koniecznie potrzebnych człowiekowi i mojego stanu, a które w wysokich sferach do jakich on należy....

— Tu zamilkł niby czując że słowa były za słabe, gdy przychodziło mówić o tych sferach. Edyta, która w ciągu téj przemowy nie podniosła oczu ani razu, spojrzała w téj chwili na Dombeya z pogardliwem zdziwieniem. Carker pochwycił w przelocie to spojrzenie i uśmiechnął się złośliwie.

Zaraz po śniadaniu, Dombey wyczerpawszy już zasoby rozmowy z paniami, zawiadomił je że powóz był w pogotowiu. Siadły więc do niego w towarzystwie bankiera i majora. Carker towarzyszył im konno.

Przez całą drogę naczelnik nie przestał trzymać się w pewnem oddaleniu za powozem, aby módz nie zwracając uwagi, przypatrywać się bacznie osobom w nim jadącym. Jakkolwiek zdawał się pozornie zajęty rozglądaniem w otaczającym go krajobrazie, ani na chwilę nie spuszczał oka z okazałego oblicza bankiera zwróconego ku niemu, ani też z białego pióra powiewającego na kapeluszu pięknéj Edyty. Raz tylko, i to już blisko kresu podróży, wypuściwszy w galop konia, wyminął szybko powóz, ale było to tylko w celu podania ręki paniom przy wysiadaniu. Gdy wtedy napotkał wzrok Edyty, dostrzegł w nim pewne zdziwienie, ale to trwało małą tylko chwilkę i zaraz potem swoim zwyczajem, spuściła oczy ku ziemi.

Pani Skewton wzięła na siebie oprowadzanie Carkera po zamku, zamawiając sobie na cały ten czas ramię majora, dla własnego — jak twierdziła dobra tego niepoprawnego barbarzyńcy, którego potrzeba było przecież oznajmiać po trochu z poezją przeszłości. Tym sposobem wypadło koniecznie Dombeyowi padać ramię Edycie, czego dopełnił z widocznem zadowoleniem.

— Oj, dobre to były czasy, mój panie mówiła pani Skewton do Carkera. Jakże kocham te wieki średniowieczne z ich potężnemi warowniami, z ich ciemnemi lochami gdzie straceni więźniowie przepadali bez śladu. Ileż to było uroku w owych zemstach tajemniczych, w owych zażartych walkach; ile tam było życia, w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu. O jakżeśmy daleko od tego wszystkiego odeszli!

— Prawda, o! bardzo daleko, — potwierdził smutno Carker.

W czasie téj rozmowy z pozoru tak ożywionéj, ani Kleopatra w swym zachwycie, ani Carker w swéj grzeczności, nie spuszczali nawet na chwilę z uwagi dącéj przed nimi pary. Skutkiem tego pomimo wprawy jaką oboje w podobnych razach posiadali, nieraz odpowiedzi ich nie zawsze z zapytaniem bywały w zgodzie.

— Nie ma się co łudzić, uczucie prawości wygasło dziś do szczętu, — mówiła z westchnieniem pani Skewton. Nie umiemy już zrozumieć postaci owych szlachetnych rycerzy, owych wojowniczych dostojników kościoła, ani też ocenić należycie złoty wiek panowania wielkiéj królowéj,któréj wizerunek zdobi jeszcze tę ścianę. Albo też jéj ojciec, cóż to za postać potężna, ów król Henryk VIII.

— O tak potężna, nie ma co mówić, rzekł z przejęciem Carker.

— Taki dumny i wspaniały. — mówiła daléj pani Skewton. Taki prawdziwy Anglik wszak prawda? A co za prześliczny ten jego portret!

— Pani zawołał półgłosem Carker zatrzymując się znagła w miejscu, jeśli tu mówimy o obrazach, to jest dopiero prawdziwe arcydzieło — i to mówiąc wskazał Edytę i Dombeya. Stali oboje obok siebie, nie rozmawiając, ani głosem, ani spojrzeniem, a choć trzymali się pod ręce dumna sztywność wrodzona tym dwom istotom, większą pomiędzy niemi roztwierała przepaść, niż gdyby jedna z nich była uosobieniem pychy, druga obrazem najgłębszéj pokory. Podczas gdy Dombey napuszony przeświadczeniem o własnym majestacie, otaczał się uroczystym chłodem, który zdawał mu się przynależnym jego stanowisku, urocza lecz chmurna i pogardliwa Edyta zdawała się dźwigać ze znużeniem własną piękność, jak suknię wdzianą z przymusu, którą od dawna sprzykrzyła sobie.

Z tem wszystkiem, pani Skewton uczuła się tak zachwyconą obrazem na który Carker zwrócił jéj uwagę, że jakby mimowoli zawołała dość głośno:

— Cóż to za słodki widok! ile w nim uczucia!

Usłyszawszy te wyrazy, Edyta odwróciła się z rumieńcem oburzenia na twarzy.

— Droga moja Edyta dostrzegła, że ją podziwiam — rzekła pani Skewton, trącając z lekka i jakby nieśmiało córkę wachlarzem; — kochane moje dziecię!

W téj chwili Carker pochwycił znowu na twarzy pani Granger, ten sam wyraz, który spostrzegł na niéj z rana, kiedy samą się być mniemała. Ale zaraz potem wyraz ów znikł, przysłoniony jak obłokiem zimną obojętnością. Edyta, zaledwie spojrzawszy na matkę, dała jéj znak, aby się zbliżyła, co pani Skewton zrozumiawszy, już nie odstępowała swojéj córki.

Carker mogąc już teraz zająć się wyłącznie obrazami, zaczął wskazywać najcelniejsze z nich Dombeyowi, zachowując wszelako w swych objaśnieniach pewien odcień dający do zrozumienia, iż nie sądził aby cośkolwiek z tego co mówił było nowem dla bankiera. Nie omieszkiwał przytem oddawać mu różnych małych usług, to mu podając parasol, to z ziemi chustkę podnosząc, od czego nie tylko zwierzchnik jego się nie wymawiał, ale je przyjmował jak by z prawa mu przynależące.

Obejrzawszy wszystkie osobliwości Warwicku, pani Skewton dosyć już ziewająca mimo zachwytu, oświadczyła chęć opuszczenia zamku dla zwiedzenia piękności okolicy.

Po kilku godzinnéj przejażdżce w czasie któréj zwiedzono Kenilworth i inne piękne miejscowości okolicy, nadeszła wreszcie pora myśleć o powrocie. Gdy całe towarzystwo przybyło do miasta, przy pożegnaniu, pani Skewton prosiła uprzejmie Carkera, aby przyszedł wieczorem usłyszeć śpiew Edyty. Rozstawszy się ze swemi towarzyszkami podróży, panowie udali się do hotelu na obiad.

U stołu, major był nad wszelki wyraz ożywiony, i zarazem o wiele mniéj tajemniczym jak dnia poprzedniego. Zdrowie Edyty zostało i tą razą wniesione i znowu Dombey okazał się tem nieco zmięszany. Carker nie szczędził gorących pochwał pięknéj pani Granger.

Wieczorem u pani Skewton, nasi panowie nie zastali innych gości. Po stolikach widać było większą niż zwykle ilość porozrzucanych niby niedbale rysunków Edyty. Przy otwartym zaś fortepianie, była złota ozdobna arfa.

— Kochanie moje, rzekła matka do Edyty, gdy już sprzątniono ze stołu herbatę, — pan Dombey niesłychanie pragnie cię usłyszeć grającą...

— Zdaje mi się matko, że w takiem razie mógłby sam o to poprosić.

— W rzeczy saméj bardzo byłbym pani wdzięczny za tę łaskę, rzekł Dombey.

— Cóż pan tedy woli fortepian czy arfę?

— Fortepian, odrzekł, zawahawszy się nieco.

— Wszystko mi jedno, gram bowiem na obu instrumentach.

To mówiąc, zagrała, potem wzięła do rąk arfę, a gdy Dombey prosił aby zaśpiewała, spełniła zaraz jego żądanie, zostawiając także wybór melodji własnemu jego uznaniu.

Jakkolwiek owo podanie się jego woli z pozoru niby chętnem było, przebijał w niem wszelako chłód tak wyraźny, że okoliczność ta zwracała uwagę Carkera, pomimo iż zdawał się być bardzo zajęty partją pikiety którą odegrywał z majorem. Nie uszło także jego uwagi, iż Dombey chlubił się wielce przewagą jaką mniemał posiadać nad Edytą i że rad był o ile możności ją uwydatniać.

Jakkolwiek nieco roztargniony owemi studjami, Carker zdołał zadowolnić do tego stopnia swemi karcianemi zdolnościami panią Skewton, że zacna pani, nie spuszczająca także z oka Edyty i jéj wielbiciela, oświadczyła przy pożegnaniu żal swój szczery, że nowy jéj znajomy miał nazajutrz odjechać do Londynu. Wynurzyła zarazem nadzieję że spotkanie to nie będzie ostatniem.

— Mam i ja tę samą nadzieję, szanowna pani, odpowiedział Carker, obejmując przelotnem spojrzeniem parę stojącą nieco opodal.

Dombey tymczasem, pożegnawszy bardzo uroczyście Edytę, pochylił się o ile sztywność jego na to pozwalała ku krzesłu pani Skewton mówiąc.

— Prosiłem pani Granger, aby pozwoliła bym ją odwiedził jutro rano w pewnym interesie do czego oznaczyła mi południową godzinę. Czy będę mógł rozmówiwszy się z nią, późniéj z panią się zobaczyć.

Pani Skewton zamiast odpowiedzi przymknęła tylko oczy i podała rękę bankierowi.

W salonie, po odejściu gości panowało długo głębokie milczenie. Pani Skewton, na wpół leżąca na kanapie, bawiła się wachlarzem spoglądając ukradkiem na córkę, siedzącą przy arfie w drugim końcu pokoju. Ale chmurnie zadumana Edyta wcale tego nie spostrzegała.

W ten sposób upłynęła cała godzina ciszy nieprzerwanéj, aż wreszcie weszła garderobiana pani Skewton dla rozebrania swej pani. Chwila ta sprowadzała tak wielką w niéj przemianę, ze rozebranie owe raczej rozbiorem nazywać się mogło. Z pewnością ktoby wtedy ją ujrzał, cofnął by się z przerażeniem w przekonaniu, że ujrzał widmo śmierci we własnéj jéj postaci.

Owa pani, tak ślicznie w dzień umalowana, taka pulchna i rumiana, czerniała i skurczała się co wieczór w sposób niepojęty w rękach swéj garderobianny. Bujne jéj pukle opadały z głowy, czarny łuk brwi zastępowały dwie kupki siwych włosów najeżonych bezładnie, kibić się pochylała, cera nabierała trupiéj barwy, jednem słowem, pani Skewton stawała się zgrzybiałą staruszką, drżącą i pomarszczoną, podobną w wyszarzanym swym szlafroczku flanelowym raczej do zawiniątka porzuconego na krześle, niźli do ludzkiéj jakiéj istoty. Nawet głos jéj wydał się zmieniony, gdy po odejściu pokojówki, zapytała Edytę z pewną szorstkością.

— Czemuż mi nie mówisz, że zażądał widzieć się z tobą?

— Bo już i bez tego wiesz o tem matko, odpowiedziała Edyta. Wiesz dobrze że mię kupił, i że jutro zapewne targu dobije. Obejrzał towar starannie i rad jest ze swego nabytku. Boże wielki! czemużem doczekała takiego upokorzenia?

Zakryła drżącemi rękami twarz rozpłomienioną wstydem i oburzeniem.

— O cóż ci wreszcie chodzi? spytała gniewnie matka. Czy też od dziecinnych lat twoich....

— Dziecinne moje lata? przerwała Edyta patrząc w nią wzrokiem zaiskrzonym, — miałażem je kiedy? Czyż byłam kiedy dzieckiem? O! nie. Zanim myśleć się nauczyłam, już znałam sztukę usidlania tych któremi zręcznie umiałaś mię otaczać. Byłam już chytrą i chciwą zanim potrafiłam zrozumieć, że mię taką zrobiono. Od kołyski zrobiłaś ze mnie narzędzie niecnych twych zamiarów, ciesz że się niem teraz

To mówiąc uderzyła silnie ręką w pierś swoją, jak gdyby chciała je przebić i zniszczyć życie w nich zamknięte.

— O, patrz na mnie z rozkoszą, matko! mówiła znowu, — patrz na twą córkę, która dzięki tobie nie znała nigdy co to jest mieć serce szlachetne i kochające! Tyś mię dzieckiem wydała, za człowieka dla którego nic nie czułam prócz chłodnéj obojętności.... Odkąd człowiek ten umarł, nie doczekawszy spadku na który czyhałaś, powiedz, czemże jest to życie, które wiodę przy tobie?

— Starałyśmy się obie abyś znalazła godną siebie partję, odparła pani Skewton. Dziś, kiedy tę partję znalazłaś...

— Nie widziano z pewnością na żadnym jarmarku ani targowisku, przerwała jéj z uniesieniem Edyta, bydlęcia wystawionego jak ja na przedaż bardziéj ode mnie wycackanego, wystrojonego i staranniéj opatrywanego..I ta hańba trwała przez całe lat dziesięć, matko moja!

Zatrzymała się na tem słowie przez chwilę, potem mówiła daléj:

— Powiedz, nie jest że prawdą wszystko co mówię? Półgłówki i rozpustnicy, młokosy i starcy, pragnęli niby mojéj ręki, ale wprędce usuwali się, poznawszy twoje na nich zastawione sidła. Ach! bo też nadto były one widoczne! Doszło nareszcie do tego, że nas palcem wytykano w całéj niemal Anglii. Dziś już mam samą tylko pogardę dla siebie, i ta pogarda z każdą chwilą się wzmaga. Byłożby to spóźnionem zbudzeniem się méj dziecięcéj niewinności, któréj nigdy nie znałam?

— Byłabyś jednak nie wiem już ile razy wyszła świetnie za mąż, rzekła pani Skewton tłumiąc w sobie wybuch oburzenia, gdybyś się do tego chciała była przyczynić.

— Nie! tego nigdy nie byłabym zdolna zrobić, zawołała dumnie podnosząc głowę Edyta. Ten który mię weźmie, musi się obejść bez wszelkiéj odemnie zachęty i objawów kłamanego uczucia, jak to robi ów człowiek co przed chwilą nas opuścił. Byłam do kupienia, a jemu spodobało się nabyć mię, otoż taki między nami stosunek. Kiedy przyszedł poznać bliżéj i mnie i talenta, towar jaki posiadam, uczyniłam zadość jego życzeniu, bo to słuszne jest znać to co się kupuje. O co spytał odpowiadałam tak jak byłam przekonana zdaniu jego sprzeciwiałam się lub potakiwałam wedle opinji wyrobionéj w sobie, robiłam więc wszystko co do mnie należało. Człowiek ów zatem nabywa mnie dobrowolnie, obliczywszy wprzód moją wartość i cenę tego co za mnie daje. Życzę mu tylko aby nie przyszedł nigdy do przekonania, że się oszukał. Nie przyspieszałam dobicia targu, a nawet o tyle o ile mogłam w tem przeszkadzałam; nie mam więc nic do wyrzucenia sobie, sumienie mam czyste i spokojne.

— Odzywasz się w dziwny sposób do matki, moja Edyto, odezwała się pani Skewton drżącym głosem, jakby z pod ziemi wychodzącym.

— Dziwniejszy on dla mnie saméj niż dla ciebie moja matko, odrzekła Edyta, ale cóż robić?

Ponieważ tedy jesteśmy biedne, jakkolwiek z rodu szlachetnego, nie wolno mi zatem odrzucać sposobu wzbogacenia się przez los nastręczonego. Z resztą, nie umiałabym już może na to się zdobyć, a na pociechę jedynie to mogę sobie przyznać, że nie starałam się usidlić tego człowieka.

— Tego człowieka? mówisz o nim Edyto, jak gdybyś go nie nawidziała?

— A tyś matko myślała że go kocham, — odrzekła z szyderstwem Edyta, zatrzymując się przy drzwiach, któremi wyjść już miała.

— Czy chcesz abym ci wymieniła kogoś, dodała patrząc jéj bystro w oczy, — co już na wskróś nas poznał i którego bardziéj wstyd mi niźli siebie samej.

— Czynisz tu, o ile wnoszę, przymówkę do tego poczciwego Carkera, odrzekła sucho pani Skewton. Mało mnie to obchodzi, bo co bądź możesz myśleć o sobie albo o tym panu, który bardzo mi się spodobał, nic to w każdym razie nie wpłynie na sprawę twego zamęścia. Ale czemuż się tak patrzysz na mnie? czyś rozum straciła?

Edyta zadrżała i spuściwszy głowę, zakryła twarz rękami. Wybuch ten wzruszenia trwał przez chwilę tylko i zaraz potem opamiętawszy się, wyszła z pokoju pozornie spokojna.

IX.

Wybrawszy się w podróż z Dombeyem, straciliśmy na czas jakiś z oczu siedzibę drewnianego miczmana, gdzie tymczasem gotowały się wypadki nie bez znaczenia dla dalszego ciągu naszéj powieści.

Od wyjazdu Waltera, izdebka od tyłu całkiem inną przybrała postać. Pozbawiony obecności ukochanego siostrzeńca Salomon coraz bardziéj zapadał w ponury smutek, który rzadko mógł uśmierzyć kapitan zawsze pełen najlepszych nadziei. Już kilka miesięcy upłynęło od wyjazdu młodzieńca, a żadnéj od niego nie miano wiadomości. Po kilkakrotnie Flora prychodziła odwiedzać wuja swojego brata przybranego, i zawsze obecność jej bywała promieniem słońca w ciemnéj izdebce, która po jéj odejściu zapadała w smutniejszą jeszcze pomrokę. Tak stały rzeczy w chwili gdy do niéj zaglądamy. Od dni kilku, stary Sol zmienił się jakoś do nie poznania. Boleść jego, zrazu cicha i spokojna, przybrała inną całkiem cechę, i starzec stał się znagła niesłychanie czynnym i ruchliwym, nieustannie po swoim sklepie się krzątał i co najdziwniejsza, w rozmowach z kapitanem unikał starannie wzmianki o Walterze.

Zmiana ta była tak uderzającą, że nawet Cuttle musiał ją spostrzedz. Pewnego dnia, gdy zachowanie się Gillsa, coraz mu się bardziéj tajemniczem zdawało, począł go wypytywać usilnie o przyczynę téj zmiany, a nie uzyskawszy żadnego od niego objaśnienia, postanowił odkryć prawdę własnym przemysłem.

Tegoż więc samego wieczoru, gdy wyszedł ze sklepu Salomona, począł krążyć około niego śledząc czynności swego przyjaciela. Widział jak krzątał się czas jakiś po izdebce, potem zasiadał do pisania, ku wielkiemu zdumieniu kapitana, nie mogącemu się domyślić co Gills mógł pisać o tak spóźnionéj porze. Potem starzec odszedł do siebie na górę i zagasił światło, kapitan zatem wrócił do domu bardziéj jeszcze niespokojny. Nazajutrz obudził się dopiero o szóstéj, ale zaledwie otworzył oczy, zdumiony ujrzał stojącego we drzwiach chłopaka którego Sol wziął był nie dawno do pomocy. Chłopakiem tym był Robert dawny wychowaniec Przytułku Szlifierzy.

— Co to jest? zawołał Cuttle — co to znaczy?

Ale zanim Rob miał czas słowo wymówić, kapitan jakby zmieniając plan swój, zerwał się z łóżka i zamknął mu usta ręką.

— Cicho chłopcze — szepnął mu do ucha — ani słowa jeszcze na teraz.

To rzekłszy, kapitan podszedł ku szafce stojącéj w rogu pokoju, wziął z niej butelkę, nalał sobie

kieliszek wódki i wypiwszy go dał drugi chłopcu. Potem, oparłszy się o ścianę jakby w przewidzeniu że wiadomością jaką ma usłyszyć, może być o ziemię powalony, rzekł do chłopca:

— No! śmiało, odbijaj od brzegu!

— Odbiję kiedy pan pozwala, odrzekł chłopiec, ale co prawda nie wiele mam co do powiedzenia bo i sam nic nie wiem, ale to może pana objaśni.

To mówiąc, wyjął z kieszeni pęk kluczy i podał je Cuttlowi, oniemiałemu prawie z podziwienia.

— Kiedym się dziś z rana obudził, proszę łaski pana, mówił dalej Rob, znalazłem te klucze położone na mojem łóżku. Drzwi do sklepu były otwarte, a pana Gillsa nigdzie ani śladu.

— Jakto? więc gdzieś przepadł? zawołał Cuttle.

— Znikł, jakby go nigdy nie było odrzekł Rob.

Kapitan wydał z piersi krzyk przeraźliwy, rzucając się ku chłopcu z taką gwałtownością, że biedak zemknął w najdalszy kąt pokoju i wyciągając z tamtąd ręce w których trzymał klucze i paczkę, wołał drżącym głosem:

— Nic więcéj nie wiem; jak mi Bóg miły nic więcéj nie wiem, oprócz tego że przy kluczach jest kartka z napisem: do kapitana Cuttle, i na paczce tenże sam adres. Dla tego tutaj przyszedłem. To dopiero nieszczęście! — dodał ocierając czapką oczy; zaledwie się człowiek miejsca dochrapał, aż tu pryncypał jego gdzieś przepadł.

Kapitan osłupiały, wyrwał paczkę z ręki Roba, otworzył ją i przeczytał:

— Kochany przyjacielu, znajdziesz tu spisaną wolę moją i testament.

— Gdzie testament? krzyknął zwracając się ku chłopcu, — gdzieś go podział? gadaj mi zaraz!

— Anim go na oczy nie widział odrzekł z płaczem biedny Rob. Jak żyję, nie dotknąłem się żadnego testamentu; Bóg mi świadkiem, nie wiem o niczem.

Kapitan potrząsł głową mrucząc pod nosem, potem czytał daléj:

— Nie otworzysz go prędzéj jak za rok, chybabyś przed tym czasem otrzymał jaką wiadomość o moim drogim Walterze, którego i ty kochasz, o czem jestem zupełnie przekonany.

Jeśli mię więcéj nie zobaczysz, Nedzie, jeśli już o mnie nie posłyszysz,zachowaj w sercu pamięć starego przyjaciela, który nigdy nie zapomni twojéj życzliwości. Przechowaj sklep mój i całe mienie dla Waltera, — a przynajmniéj do czasu który wyżéj oznaczyłem przyjmij nad nim opiekę. Nie zostawiam żadnych długów; pożyczka jaką zaciągnąłem w kasie pana Dombeya, już została spłaconą. Razem z tem pismem odbierzesz wszystkie klucze moje. Proszę cię abyś nie czynił żadnych kroków w celu odszukania mnie, chcę bowiem żeby mój wyjazd pozostał tajemnicą. Zresztą, wszelkie twoje starania byłyby z pewnością nadaremne.Na tem zakończam, kochany Nedzie, z zaufaniem iż mię przyjaźń twoja nie zawiedzie. Wierny i na zawsze twój przyjaciel, Salomon Gills.

Kapitan westchnął głęboko, potem przeczytał następujące wyrazy, dodane w przypisku.

„Nadewszystko, Nedzie, czuwaj nad miczmanem, i ocal go, choćby wszystko zresztą przepaść miało.

Kapitan czytał i odczytywał to pismo nie wiedzieć ile razy, wreszcie osunął się w milczeniu na krzesło. Zrazu, wrażenie ciosu który otrzymał, ubezwładniło poniekąd myśli jego i nadało twarzy wyraz martwego osłupienia, a jakkolwiek niepodobna mu było rozpatrzeć się w okolicznościach towarzyszących temu niesłychanemu wypadkowi, czuł wszelako że ktoś musiał być winnym w tym razie. Mając pod ręką tylko dawnego swego wychowańca Przytułku Szlifierzy, zwrócił na niego wszystkie swe podejrzenia.

Po pewnym tedy namyśle, postanowił zabrać go z sobą i udać się do mieszkania Salomona dla zbadania najdrobniejszych szczegółów sprawy tak tajemniczéj. Przejęty odpowiedzialnością jaka na nim ciążyła, Cuttle miał zrazu zamiar związać ręce chłopakowi, nie mając wszakże pewności czy podobne postępowanie było legalnem, poprzestał na trzymaniu mu ręki na ramieniu, z zamiarem obalenia go o ziemię, w razie gdyby probował ucieczki.

Rob nie stawił w tym razie żadnego oporu, kapitan zatem doprowadził go do mieszkania Gillsa, nie potrzebując odwoływać się do środków tak ostatecznych.

Nie tracąc ani chwili czasu, kapitan zabrał się zaraz do bardzo szczegółowych poszukiwań po całym domu, opatrując ze światłem piwnice, macając drzwi i ściany swym żelaznym haczykiem, przy czem nieraz się głową uderzał o belki i cały się osnuł pajęczynami. Doszedłszy wreszcie do sypialnéj izdebki Sola, przekonał się że starzec nie kładł się do łóżka ostatniéj nocy, znać tylko było że na niem spoczywał czas jaki, wnosząc ze zgniecionego posłania i kołdry.

— Wszystko, mi się widzi panie kapitanie, odezwał się Rob, rozglądając się po pokoju, że pan Gills co wychodził tak często ostatniemi czasy to musiał wynosić swoje rzeczy po trochu.

— Doprawdy? rzekł kapitan zaciekawiony. A zkądże to wnosisz, chłopcze?

— Oto ztąd, że nie widzę nigdzie ani butów ani szczotek, ani też bielizny, nawet brzytwy gdzieś zniknęły.

Jakkolwiek mocno strapiony i znękany, kapitan wyszukawszy człowieka pewnego do pilnowania sklepu, wyszedł na miasto z Robertem w celu odszukania zwłok przyjaciela.

Wędrówka jego trwała przeszło tydzień. Nie było dzielnicy miasta, kantoru ani warsztatu, któregoby nie zwiedził, szukając wszędzie tropu Gillsa, nasłuchując jakiejkolwiek o nim wieści. Na dworcach kolei równie jak na wybrzeżu, wszędzie spotkać go było można snującego się wśród najgęstszego tłumu, wietrzącego i wypatrującego niezmordowanie najmniejszéj poszlaki mogącéj na tor go wprowadzić. Przez cały czas ten czytywał najsumienniéj we wszystkich dziennikach rubrykę zbrodni i przypadków, i według pozyskanych tam wskazówek, chodził o różnych dnia godzinach i w różne miejsca, upatrywać Salomona Gillsa.

W ostatku wyrzekł się tych bezowocnych usiłowań i począł się zastanawiać nad tem, co mu daléj czynić wypadało. Odczytawszy jeszcze list Salomona, poczciwy Cuttle powiedział sobie, że pierwszym jego obowiązkiem było pilnować sklepu i mieszkania Gillsa dla Waltera. Skutkiem tego, postanowił niezwłocznie tam się przenieść, aby mógł w zupełności odpowiedzieć zaufaniu przyjaciela, i prowadzić handel w jego zastępstwie. Ponieważ jednak krok podobny pociągnął za sobą wyprowadzenie się kapitana od wdowy Mac-Stinger, o czem zawczasu wiedział że groźna jejmość ani słyszeć nie zechce, powziął rozpaczliwy zamiar cichaczem tego dokonać. Ułożywszy w głębi myśli ów plan znakomity rzekł do Roberta:

— Słuchaj uważnie co ci powiem, chłopcze. Dnia jutrzejszego, być może iż nie przyjdę do sklepu aż wieczorem, albo nawet późną już nocą. W każdym razie, stój przy drzwiach na straży dopóki nie nadejdę, a wtedy radzę ci nie marudzić z ich otwarciem. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie kapitanie, odrzekł Rob.

— Pozostajesz zapisany w kontrolach osady okrętu, dodał kapitan z wyrazem przychylności, a nawet nie małego możesz się spodziewać awansu, jeśli nadal w zgodzie z sobą pozostaniemy. Tylko powtarzam ci, abyś o któréj bądź godzinie zapukam do drzwi przyszłéj nocy, był gotów i natychmiast otworzył.

Chłopak zapewnił raz jeszcze kapitana, że mógł być spokojnym, zaczem ten ostatni wybrał się wreszcie do siebie, myśląc że nie prędko będzie znowu tę drogę odbywał.

Zuchwały plan kryjący się pod błękitną kamizelką Cuttla tak żywą go napełniał trwogą, ilekroć pomyślał o wdowie Mac-Stinger, że przez ciąg ostatniego dnia który spędził pod jéj dachem, sam odgłos kroków téj pani przejmował go niewysłowionym dreszczem. Na domiar nieszczęścia, w dniu owym była ona w najlepszem usposobieniu; łagodna jak baranek i przyszła go spytać, czy nie życzy aby mu co sporządziła na obiad.

— Może jaki smaczny budeń z araczkiem, albo też baranią potrawkę z ryżem? zapytała z chętną gotowością.

— Pokornie dziękuję, łaskawa pani, odpowiedział Cuttle.

— Jesteś pan wyraźnie nie swój i jakby osłabiony, rzekła znowu wdowa. Powinienbyś koniecznie czem się posilić. Ażebyś też, choć na ten raz, pozwolił sobie buteleczkę xeresu?

— Kiedy tak pani radzisz, usłucham, odpowiedział kapitan. Kładę tylko za warunek, że wypijemy razem tę butelkę, Czy nie chciałabyś też pani, dodał coraz bardziéj niespokojny przyjąć jako podarunek kwartalną moją należność za mieszkanie?

— A to dla czego? spytała zdziwiona.

— Gdybyś pani wziąść chciała te pieniądze, wdzięczny byłbym nieskończenie. Nie mam co z niemi robić.

— Niechże i tak będzie, rób pan jak ci się podoba.

— Prosiłbym także pani, rzekł Cuttle biorąc z najwyższéj półki szafy blaszaną puszkę służącą mu za skarbonę, abyś była tak dobrą dać w mojem imieniu po ośmnaście pensów każdemu z członków twojéj gromadki. Jeżeli można, radbym żeby te dzieci tu przyszły, lubię je widzieć razem zebrane.

Widok ten, na któréj dzięki uprzejmości imć pani Mac-Stinger, kapitan nie długo czekał, był mu tą razą na wszelki wyraz bolesnym. Serdeczność i zaufanie z jakim gwarem gromadka go otoczyła, przejmowały go przykrem uczuciem wstydu. Widok małego Olesia, który był jego ulubieńcem, napełniał go smutkiem, głos Julci przypominający do złudzenia matkę, dreszczem go przeszywał.

Ku wieczorowi Cuttle odprawił wreszcie owe aniołki, pożegnawszy je z rozdzierającem uczuciem człowieka, mającego iść na rusztowanie.

W nocy, kapitan upakował w tłomok najcięższe rzeczy, w przekonaniu że się na długo z niemi rozłącza zostawiając je w swojem mieszkaniu. Potem, zrobiwszy zawiniątko z tego co mogło mu być najpotrzebniejszem i wziąwszy srebra swe do kieszeni, czekał stosownéj pory, całkiem już gotów do ucieczki. Około północy, kiedy już zupełna cisza zapanowała na Brigg — Place, kapitan zeszedł ze schodów po cichutku wśród ciemności, otworzył drzwi ostrożnie, zamknął je podobnież, ruszył kłusem co mu sił starczyło nie zatrzymując się ani razu, dopóki nie stanął u drzwi sklepu Gillsa. Zaledwie w nie zapukał, otworzyły się, a gdy je ujrzał na nowo zamknięte i zaryglowane, odetchnął dopiero swobodniéj.

— No, teraz przecie jestem bezpieczny, zawołał rzucając się w krzesło.

— A co? czy nic się złego panu nie stało? spytał ziewając zaspany chłopak.

— Nie, nic z łaski Boga — odpowiedział Cuttle nasłuchując uważnie. Słuchaj Rob, dodał po chwili uspokojony już nieco, — gdyby jakabądź kobieta z wyjątkiem tych dwóch pań które odwiedzały często pana Gillsa, przyszła pytać się o kapitana Cuttle, pamiętaj powiedzieć że nie znasz nikogo tego nazwiska i że nigdy go w życiu nie widziałeś. Zachowaj to sobie przedewszystkiem w pamięci.

— Zachowam, proszę pana, odpowiedział Rob.

— Jeśli chcesz, dodał Cuttle po chwili namysłu, możesz jeszcze powiedzieć żeś czytał w pismach, że jakiś kapitan podobnego nazwiska wyjechał do Australii z transportem wychodźców, i że poprzysiągł nigdy ztamtąd nie wrócić.

Niepodobna opisać udręczeń jakich doznał nazajutrz Cuttle, ilekroć widział pojawiający się jaki kapelusz kobiecy przed sklepem. Zmykał wtedy do pobocznéj izdebki i blady, trzęsący się patrzył przez dziurkę od drzwi, rozpatrując grożące mu niebezpieczeństwo. Skoro alarm okazał się fałszywym, wychodził śmiało ze swéj kryjówki, ale kapelusze kobiece pojawiały się tak często, że biedny Cuttle nieustannie to wychodził, to znowu powracał, nie mając prawie chwili prawdziwego spokoju.

Wiodąc życie którego każda chwila tak była zajęta, kapitan znajdował wszelako czas do zajmowania się wszystkiem co stanowiło mienie jego przyjaciela. W jego oczach narzędzia i przyrządy sklep zapełniające, nigdy dosyć nie były wyczyszczone i błyszczące, co się nieraz dobrze we znaki dawało Robertowi.

Zaprowadziwszy w sklepie wszelkie możliwe ulepszenia, kapitan otoczony tylu mądremi i sztucznemi przyrządami, począł uczuwać kiełkujące w sobie pierwsze zarody nauki. Wieczorem, paląc fajkę, przypatrywał się przez okienko izdebki gwiazdom jak gdyby i w nich widział część swojego mienia. Zostawszy kupcem w Starem mieście zaczął zajmować się lordem, majorem, radami i stowarzyszeniami handlowemi. Czuł się także obowiązany czytywać codzień sprawozdania giełdowe, chociaż nie bardzo wiele z nich rozumiał, ani też umiał dokładnie sobie wytłomaczyć co one mogły mieć wspólnego z żeglarskiemi sprawami: Odkąd objął opiekę nad drewnianym miczmanem, wyglądał także codzień Florci, żeby ją zawiadomić o zniknięciu Salomona, ale Florci nie było jakoś widać. Kapitan nie miał tedy innego towarzystwa jak Roberta; żyjąc w osamotnieniu, wiecznie oddany rozmyślaniom i troskom, stracił wreszcie, jak się to zdarza czasami ludziom, miarę czasu który w około niego upływał. Nieraz też myślał o Walterze, o Salomonie a nawet i o wdowie Mac-Stinger, jakby o ludziach z innego całkiem świata, lub co najmniéj z dalekiéj już bardzo przeszłości.

X.

Tak upływały dni i tygodnie, a kapitan miał się ciągle na baczności.

Pewnego wieczoru Cuttle siedział swoim zwyczajem w izdebce od tyłu, patrząc na ogień płonący na kominku. Wiatr wył przeraźliwie na dworze, a gęste krople deszczu spływały po szybach. Była to już jesień, kapitan był smutny, wkrótce jednak myśli jego przybrały inny kierunek. Nie było dotąd żadnych wieści od Waltera, o Solu także nie mógł się nic dowiedzieć. Flora nie wiedziała jeszcze o jego zniknięciu, i kapitan nie czuł w sobie siły zawiadomić ją o tem. W miarę bowiem jak się w nicość obracały świetne marzenia, jakiemi otaczał niegdyś przyszłość szlachetnego młodzieńca, którego ukochał od jego lat dziecięcych, Cuttle lękał się coraz bardziéj sposobności do rozmowy z Florą. Gdyby miał dobre wieści do udzielenia, znalazłby w sobie odwagę zwalczenia wszelkich przeszkód coby go od niéj dzieliły, ale skoro posępny widnokrąg po za którym przepadały wspólne ich nadzieje, z dniem każdym się zaciemniał, kapitan czuł że obecność jego przymnożyłaby tylko cierpień młodéj dziewczynie i ztąd obawiał się jéj odwiedzin, nie mniéj może jak i pojawienia się wdowy Mac-Stinger we własnéj osobie.

Gdy się Cuttle oddawał tym smutnym rozmyślaniom, usłyszał że zastukano do drzwi sklepu. Podskoczył z trwogą na krześle i zapytał chłopca z cicha.

— Cóż to być może takiego?

— Ktoś wyraźnie stuka, odpowiedział Rob idąc, otworzyć.

Kapitan zamknął się śpiesznie na klucz w izdebce, czekając co daléj będzie. Zmiarkował niebawem że ów gość niespodziany nie musiał być kobietą, gdyż Rob wierny otrzymanym rozkazom nie byłby mu z pewnością dał przestąpić progu sklepu; tymczasem Cuttle usłyszał wyraźnie jak wprowadzał do niego nowo przy byłego.

— Jak się pan miewasz, panie Gills? rzekł ten ostatni, widząc kapitana wychodzącego z izdebki. Nazywam się Toost, Toots do usług pana.

Kapitan skłonił się w milczeniu. Toots zakaszlał i nie bardzo wiedząc, co ma daléj powiedzieć począł ściskać serdecznie rękę Cuttla. Wreszcie rzekł:

— Chciałbym pomówić chwilkę z panem, idzie tu o pannę D...o...m... rozumiesz mię pan zapewne?

Kapitan odpowiedział potwierdzającem skinieniem głowy i dał znak Totsowi aby z nim wszedł do izdebki od tyłu. Gdy w niéj zasiedli obadwaj przy kominku, Toots odezwał się:

— Panie Gills...

— Czekaj pan, przerwał mu kapitan, nazywam się Cuttle.

— O! a czy nie mógłbym zobaczyć się z panem Gillsem? zapytał Toots całkiem zbity z tropu; — widzisz pan, chciałbym...

— Gdybyś mógł zobaczyć się z Salomonem Gillsem, młodzieńcze, zawołał kapitan głosem uroczystym, kładąc żylastą rękę na kolanie Tootsa, gdybyś z tego miejsca na którem się znajdujesz, był w stanie dostrzedz starego Sola, milszym byłbyś dla mnie gościem niż nim jest pierwszy powiew wiatru dla okrętu zaskoczonego ciszą na pełnem morzu. Ale próżno i marzyć o tem. Niepodobna abyś zobaczył Gillsa. Dla czego chcesz zapytać? Oto dla tego, że Salomon Gills jest niewidzialnym!

W zamięszaniu swem, Toots o mało nie odpowiedział że to nic nie szkodziło; powstrzymał jednak w porę te niewczesne wyrazy i rzekł z westchnieniem:

— Boże wielki!

—Człowiek ten, mówił daléj kapitan, powierzył mi sklep swój, w liście który do mnie napisał. Żyliśmy z sobą jak bracia, a jednak nic więcéj od pana o nim nie wiem. Nie wiem ani dokąd się udał, ani dla czego dom porzucił. Nie umiem zgadnąć czy to uczynił dla odszukania siostrzeńca, czy skutkiem jakiego obłędu. Pewnego poranku znikł, nie zostawiając śladu po sobie. Szukałem go wszędzie, wło-żyłem w to wszystkie moje siły, — ani sposobu go wynaleźć.

— Ależ na miłość Boga, panna Dombey nie wie wcale.

— I na cóż by wiedzieć o tem miała? pytam się ciebie młodzieńcze, któryś pewnie sercem tkliwem obdarzony; — przerwał kapitan cichszym mówiąc głosem. Na cóż ją zawiadamiać o tem nieszczęściu dopóki wszelka nadzieja nie jest straconą? Ta słodka istota przywiązała się do Gillsa tak szczerze!... Ale czyż potrzebuję mówić panu o niéj? wszakże znasz ją dobrze.

— Tak sobie przynajmniéj tuszę, rzekł Toots zaczerwieniony po same uszy.

— I przybywasz tu pan w jéj imieniu?

— Tak panie, wyjąkał Toots.

— W takim razie, to tylko mam panu do powiedzenia, że jesteś wybrańcem losu, skoro cię zbliżył do takiego anioła.

— To jest... chciałem powiedzieć, odezwał się Toots, że młoda osoba która mię tu przysyła... to nie panna Dombey, ale tamta.. Zuzia.

Kapitan skłonił poważnie głowę, w sposób świadczący iż znał względy przynależne pannie Zuzannie.

(d. c. n).

POGADANKI NAUKOWE.

DZIEJE WĘGLA

OD

FORMACYI WĘGLOWEJ AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

(Dalszy ciąg).

Antracyt i węgiel kamienny są jednego pochodzenia, znajduje się tylko w najdawniejszych pokładach epoki węglowéj, w massach mających odłam muszlowy. Pali się z trudnością pozostawiając nieco popiołu, ma wejrzenie podobne do węgla kamiennego i uważany też jest za węgiel tylko bez bitunimu.

Znajduje zastosowanie w przemyśle, ale nie na tak rozległą skalę jak węgiel kamienny, w Europie głównie używany bywa do fabrykacji wapna zastosowanego do rolnictwa. Przemyślniejsi od nas Amerykanie, umieli zużytkować i wielkie ciągną korzyści z niezmierzonych pokładów antracytu w Wirginji i w Pensylwanji.

Grafit nazwę tę nosi odmiana węgla znajdująca się w kryształach tabliczkowatych, a częściéj jeszcze w łuszczkach i blaszkach. Jest łupliwy, ma barwę stalowo-szarą lub czarną, smoli, w dotknięciu tłusty. Od słowa greckiego *pisać* nazwany został grafitem, z niego to wyrabiają ołówki do pisania i rysunku.Jest to także węgiel ale nadzwyczaj czysty.Gorszy gatunek grafitu używa się przy doświadczeniach na tygle ogniotrwałe, gdyż nawet w najwyższéj temperaturze jaką po dziś dzień wytworzyć umiano, żadnéj nie ulega zmianie, i gdy inne odmiany węgla zupełnieby się spaliły, tygiel grafitowy po zdjęciu z ognia jest takim jak był poprzednio.

Lignit czyli *węgiel brunatny* jest formacji późniejszéj jak węgiel kamienny. Lignit liczy kilka odmian, z tych najrzadszą jest *węgiel smołowy* czyli *gagat* używany na ozdoby. W przemyśle dotąd lignit małe znalazł zastosowanie.

W ostatnim rzędzie odmian węgla spotykamy *torf*. Jest on jeszcze mniéj czystym węglem niż lignit a tworzy się z rozkładu roślin trawiastych, a szczególniéj rosnących na bagnach. Torf jest bez zaprzeczenia najmłodszym z utworów natury węglowéj, istniał już w czasach formacji geologicznych i dotąd nieustannie tworzy się w oczach naszych. Prawdopodobnie przyczynił się on bardzo do powstania węgla brunatnego i kamiennego.

Początek swój zawdzięcza torf głównie roślinie niepozornéj, zwanéj *mchem torfowym* lub *torfowcem*, rosnącéj na mokrych bagnach torfowych. Gdy jedna warstwa tego mchu obumiera, wyrasta na niéj nowa i obumierając z kolei, równie jak pierwsza przechodzi w butwienie. Tym sposobem przybywa corocznie nowa ilość materji węgiel zawierających, i tworzy się pokład, który po upływie kilkudziesięciu lub stu lat, znacznéj dochodzi grubości. Powoli, z biegiem czasu następuje zwęglenie, dolne warstwy coraz bardziéj w węgiel się zbogacają, czernieją, i skutkiem ciśnienia przygniatających je warstw wyższych, coraz większéj nabierają zbitości.

I dla tego to torf jest tym lepszy im więcéj lat liczy, najlepszym zaś wtedy gdy przybierze już bardzo ciemną barwę, a znaczna ciężkość zaledwie pozwala poznać iż powstał z materji roślinnych.

Pokłady torfu zalegają zazwyczaj niziny będące dawniéj bagniskami, niekiedy odnajdują w nich różne zabytki przemysłu ludzkiego, jak np. broń i narzędzia dawnych Celtów, Słowian i innych narodów, a nawet w Hanowerskiem odkryto szczątki drewnianych mostów, po których, jak twierdzą, Germanikus, wódz rzymski, przechodził z Batawji w okolice Teutoburgskiego lasu.

Torfy powstają także i w dolinach międzygórskich, jak np. w pasmie Karpat i u ich podnoża. U nas najobszerniejsze pokłady znajdują się w dolinie Nowotargskiéj, pod Tatrami, w obwodzie Sądeckim: ciągną się tam pasem 3 mile długim a na jedną wiorstę szerokim. W gub. warszawskiéj, kaliskiéj, w krakowskiem a szczególniéj w powiecie Stopnickim, torf znajduje się w znacznéj obfitości, w pokładach od 6 do 20 stóp długości, przy niezwyczajnéj dziś drożyznie drzewa i węgla kamiennego, wartoby pomyśleć o zużytkowaniu go na opał. Niektóre kraje, jak np. Hollandja, stojąca na prastarych bagnach zamienionych w torfowiska, nigdy w ogóle innego nie używa paliwa.

Wszystkie powyżéj wymienione odmiany węgla należą do królestwa mineralnego, lecz ani ich różnorodność, ani wielka w temże królestwie znajdująca się ilość, nie zdołały jeszcze zadowolnić człowieka, ze względu coraz zwiększającego się zapotrzebowania i nowych zastosowań węgla, co zmusiło go szukać jeszcze w królestwie roślinnem i zwierzęcem. Tym sposobem pozyskano trzy nowe rodzaje węgla: *węgiel roślinny czyli drzewny, sadze i węgiel zwierzęcy*.

Węgiel roślinny czyli *drzewny* samą już nazwą zdradza swe pochodzenie, a jakkolwiek węglom brunatnym i kamiennym także rośliny dały początek, jednak nazwę *węgli roślinnych* nadaje się tylko węglom, które przemysł ludzki sztuką wytwarza. Zobaczmy w jaki sposób się go wyrabia.

Nie szukając obcych krajów wejdźmy do jednego z tych wspaniałych lasów, jakiemi Stwórca Wszechrzeczy tak hojnie naszą ubogacił ziemię. Zagłębiwszy się pod niebotycznych drzew sklepienie, upojeni różnobarwnéj zieleni widokiem, oddychamy całą piersią rozkosznie orzeźwiającą balsamiczną drzew wonią. A jakże to cudnie uroczy przed oczami naszemi roztacza się widok!

Tu obok pięknych jesionów wiekowe dęby wznoszą dumnie wspaniałe swe korony: tam brzezina i wiązy mięszają swe gałązki jakby braterskim obejmowały się uściskiem: tu znów olszyna i sosny zielenieją w oddali a liczne zarośla tworzą trudne do przebycia gęstwiny. U stóp tych pięknych drzew rozściela się zielony kobierzec mchu i trawy, przetykany rożnobarwnem kwieciem, a piękny bluszcz tysiącznemi sploty otacza pnie drzew ukochanych sobie.

Otóż człowiek powodowany chęcią zysku, lub samolubną żądzą nasycenia swych coraz liczniejszych potrzeb, bez skrupułu podnosi morderczą rękę na te cuda przyrody i najpiękniejsze drzewa padają pod zabójczym jego ciosem. Znaczna część tak wyciętych drzew obracana bywa na węgiel drzewny, i operacja ta odbywa się na miejscu w lesie.

Wiadomo że wszystkie bez wyjątku rośliny zawierają węgiel, który różnemi sposobami może być z nich wydzielony. Oprócz węgla, głównemi składowemi częściami roślin są wodór i tlen. Samo rozgrzanie materji roślinnych w utrudnionym przystępie powietrza, jest dostatecznem do oddalenia z nich wodoru i tlenu w stanie wody, i otrzymania z pozostałości węgla. Chcąc się o tem przekonać, trzeba tylko wsuwać stopniowo w rurkę szklanną płonące drewienko, a zobaczymy że niezadługo część będąca wewnątrz probówki, zacznie się zwęglać, a pozostawiona na zewnątrz palić płomieniem. Toż samo odbywa się na wielką skalę przy otrzymywaniu węgla *drzewnego*, w tak zwanych *milerzach* czyli stogach.

Można otrzymać węgiel ze wszystkich gatunków drzewa, ale najlepiéj nadaje się ku temu drzewo twarde.

Nie można także mięszać różnych gatunków, ale każdy osobno zwęglać.

Ułożony *stóg* czy *milerz* pokrywa się darniną lub ziemią i wewnątrz podpala, ponieważ tak ziemna jak darniowa powłoka, z trudnością przepuszcza powietrze, zatem chociaż cały milerz stopniowo się rozrzarza, jednak głównie tylko tlen i wodór z drzewa uchodzą, węgle zaś w większéj części pozostają. Mówimy w większéj, bo im zupełniéj tlen i wodór chcemy oddalić, tem znaczniejsza część węgla zostaje spaloną. Aby uniknąć téj straty niekiedy niezupełnie zwęglają drzewo, wtedy otrzymuje się węgiel zwany *czerwony*.

Zazwyczaj ze stu funtów drzewa, otrzymuje się 20 a przy najstaranniejszem zwęgleniu 25 funtów węgla. W ostatnich czasach dla zapobieżenia tak wielkiéj stracie, w niektórych miejscowościach zamiast *zwęglenia* w milerzach, zaczęto otrzymywać węgiel *przez dystyllację w naczyniach zamkniętych*, tym sposobem ilość otrzymanego węgla zwiększa się do 30 na sto, co jednak względnie małą bardzo przynosi korzyść, gdyż znowu przyrządy są bardzo kosztowne.

Węgiel drzewny posiada w wysokim stopniu własności pochłaniania pary wodnéj z powietrza i zagęszczania jéj w swych porach. Pochłania także i farbniki, w słabszym jednak stopniu niż węgiel zwierzęcy; jest także bardzo złym przewodnikiem ciepła, w stanie zwyczajnym nie dobrze przeprowadza elektryczność, lecz rozżarzony jest bardzo dobrym jéj przewodnikiem.

Węgiel drzewny ma liczne zastosowania w technice, najpowszechniéj zaś używany jest do otrzymania silnego ciepła w małych przestrzeniach, jak np. w samowarach. Prawie wszystkie metale otrzymują się przez wypalanie ich tlenków, pomięszanych z węglem. Ważną także odgrywa on rolę przy wyrabianiu prochu.

Sadza jest to węgiel roślinny, w stanie bardzo delikatnego pyłku. Sadza z drzewa smolnego lub żywicy, używana jest na farby czarne, ordynarniejsze, zaś sadza z lampy na farby delikatniejsze, jak np. tusz. Pierwszy gatunek sadzy otrzymuje się paląc w utrudnionem przystępie powietrza drzewo smolne, żywicę i t. p. i prowadząc powstający dym do urządzonéj w tym celu izby, w któréj sadza osiada. *Farba czarna* frankfurcka albo tusz drukarski jest bardzo delikatnym proszkiem węgla, otrzymanym przez zwęglenie drożdży winnych, i zawierającym w sobie sole potażowe.

Wszystkie te odmiany węgla roślinnego nie są czystym węglem, gdyż po spaleniu zostawiają popiół. Tylko sadza z lampy, dobrze wypalona, jest węglem prawie chemicznie czystym.

Węgiel zwierzęcy. Nazwę tę nosi węgiel otrzymywany przez zwęglenie rozmaitych ciał zwierzęcych, to jest: skóry, włosów, rogów, kopyt, kości i t. d., które obok węgla, wodoru i tlenu zawierają w swym składzie azot, i dla tego pewna ilość tego ostatniego pierwiastku, zwykle się w węglu zwierzęcym znajduje. Z tego powodu węgiel zwierzęcy bardzo jest przydatny do otrzymywania związków *cyanu* i tem samem, stanowi podstawę fabrykacji farby zwanéj *pruskim błękitem* (berliner-blau).

Węgiel z kości jest węglem zwierzęcym, otrzymywanym przez zwęglenie kości, czyli wypalanie ich bez przystępu powietrza. Odznacza się on szczególniéj zdolnością pochłaniania rozpuszczalnych barwników, i oddalenia ich z roztworów. Chcąc to sprawdzić doświadczeniem, dość jest do flaszki napełnionej czerwonem winem lub atramentem, wsypać kilka łyżek węgla z kości, mocno skłócić i następnie odcedzić, a otrzymamy ciecz bezbarwną. Ta własność węgla została z wielką korzyścią spożytkowana w fabrykacji cukru, gdyż syrop cukrowy zabarwiony na brunatno, za dodaniem węgla z kości zostaje zupełnie odbarwiony, i daje cukier śnieżnéj białości. Oprócz tego wiele jeszcze innych przetworów chemicznych, oczyszczać można od domieszanych materji zabarwiających, za pomocą węgla z kości. Nadto używany on bywa na farbę czarną, najpowszechniéj zaś do przygotowania szuwaksu.

Powyżéj wyliczone odmiany węgla dowodzą, jak rozliczne przybiera on postacie i w jak różnorodnym przedstawia się nam stanie; jednak dla chemika, nie dbającego o zewnętrzne cechy i przymioty, ale wnikającego w grunt rzeczy, wszystkie te substancje są tylko jedną i tąż samą materją, którą on nazywa węglem (carbo). Przedstawia on zawsze w jego oczach którąś z licznych odmian węgla, posiadającą własności wszystkich.

Jedną z najcharakterystyczniejszych własności węgla, jest właśnie ta rozmaitość wejrzenia pod jaką nam się ukazuje, chemicy nazywają to *allotropią*.

W jakim bądź stanie jest węgiel, może palić się na powietrzu, i w takim razie wytwarza się gaz zwany *kwasem węglanym*. Czy spalemy prosty węgiel kamienny, czy grafit, antracyt, lignit, torf, lub blaskiem tęczy połyskujący djament, zawsze jeden i ten sam gaz się wydzieli.

W pewnych okolicznościach, niezależnych od woli człowieka, węgiel może się skrystalizować, to jest przybrać geometryczną regularną postać, jak tego wybornie dowodzi djament a do pewnego stopnia i grafit. Węgiel w jakimkolwiek jest stanie, zawsze jest bez smaku, jest nietopliwy i nielotny, a rozpuszcza się tylko w roztopionym surowcu żelaznym.

Wykazaliśmy wszystkie odmiany węgla i ich fizyczne własności, których istnienie można rozpoznać nie zmieniając natury substancji, lecz posiada on jeszcze własności chemiczne, których stwierdzenie wymaga nieustannych przemian węgla przez połączenie go z innemi substancjami; zastanówmy się nieco nad niemi.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 8.

N. 10. Stanik pod szyję z gorsecikiem sznurem wyszytym. Strojnie i ozdobnie wygląda przy ciemniéjszéj sukni wełnianéj dodanie dolnéj części stanika, epolet i wyłogów przy szerokich rękawach w odcieniu jaśniejszym z wyszyciem z jedwabnego kręconego sznura. Deseń wyszycia łatwo dobrać w dawniejszych N. Tygodnika, albo ułożyć podług podanego wzoru. Takież szerokie obłożenie, wyszyte sznurem może stanowić także garnirunek tiuniki.



N. 3. Kolczyk. Strona prawa. Patrz N. 4.



N. 1. Grzebień z płaskich kamieni. Patrz cały garnitur N. 2—5.



N. 4. Kolczyk strona lewa do N. 3.

N. 11. Haftowana cyfra. Podany wzór pięknego monogramu haftowanego jedwabiem kolorowym i nitką złotą, zastosowany być może do różnych robót eleganckich, jak np. tek na papiery, szkatułek, pudełek na toaletę i t. p. Najbogaciéj baft ten przedstawia się na aksamicie czarnym, lub kolorowym, ale może być także odrobiony na suknie, kaszmirze, skórze amerykańskiej itd.



N. 6. Kokarda alzacka.

N. 12. Listek muślinowy z podwiniętym brzeżkiem. Rycina 12 wskazuje pojedynczy listek i ufałdowanie go, układ zaś całego garnirowania podaje N. 36 przy którym dołączamy szczegółowy opis.

N. 13. Berta chusteczkowa z koronką i kokardami. Bertę, którą model dzisiejszy podaje odrobioną z crêpe de chine, można także odszyć z muślinu. Składa się ona z dwóch skośnych części, zszytych z tyłu po 65 cent. długich; na ramionach po 22 cent. szerokich, z tyłu 15 a na przodzie w zaokrąglonych końcach tylko 6 cent. mającą. Czarną, białą, lub kolorową bertę oszywa się od dołu wraz z 12 cent. długiemi końcami, 6 i pół cent. szeroką koronką; górny brzeg, zakończa tylko 1 i pół cent. szeroka koronka. Dwie jednakowe głębokie fałdy zwężają szerokość chusteczki do 5 cent. z tyłu, na ramionach po 5 cent., a z przodu tylko 2 cent. szerokości, nie licząc koronki. Kokardy przypięte z tyłu, na prawem ramieniu i z przodu, ułożone są z czarnéj lub kolorowéj aksamitki, albo wstążki rypsowéj.

Taką chusteczkową bertę nosić można nie tylko do wyciętych, ale zarówno do staników pod szyję, w takim razie rękawy z materjału sukni powinny być dopełnione odpowiednim bercie wolantem. Toaleta o wiele zyskuje gdy dodamy i odpowiednią tunikę.



N. 5. Klamerka do paska z wisiadełkami.

N. 14—15. Dwa buciki szydełkowe. Ażeby nogom w lżejszy bucik obutym, zapewnić dostateczne ciepło, bardzo praktyczne są buciki, służące do wkładania na trzewik. Jeśli dodamy pod spód podeszwę skórzaną, to buciki takie będą mogły służyć nawet do wyjścia. Główną różnicę w bucikach, odmiennym odrobionych ściegiem, stanowi wysokość cholewki.



N. 7. Kołnierzyk aksamitny z kokardą.

N. 14. Szydełkowy bucik, ściegiem karbowanym z przyozdobieniem w muszki. Materjał: włóczka pąsowa angielska; czarna wełna. Bucik pąsowy, przyozdobiony czarnym rzutem, zaczyna się od palcy na 11 o. pow. W każdym z 25 rzędów, które stanowią część przednią bucika, przybiera się w środkowe o. 3 o. ścisłe. Rzucik zawsze odrabia się w rzędach idących od prawéj do lewéj ręki; zajmuje tylko dwa oczka, a daje się w odstępach 10 o. w ten sposób, aby się muszki mijały. Od 19 rzędu zaczyna się gubienie po 1 o. z boków bucika i gubi się ciągle co drugie obrobienie, aż do skończenia części przedniéj. Na część tylną dowolnéj wy-



N. 8. Pelerynka i tunika muślinowa. Krój na dodatku do N. 9 i 10 Tygodnika N. II Fig. 10.



N. 9. Stanik pod szyję z muślinu.



N. 2. Kokarda z broszą. Patrz N. 1 do 5.



N. 10. Stanik z przybraniem gorsecikowem sznureczkiem wyszyte.

sokości, potrzeba przybrać 10 — 20 o. nowych w górę i robić 18 następnych rzędów zupełnie prosto. Dla nadania dobréj formy, przybiera się w cholewce, w 6 ostatnich obrobieniach, stopniowo w górę, w pierwszych zaś obrobieniach, gubi się kilka oczek dla nadania wcięcia przy podeszwie. Przy zakończeniu pierwszej połowy cholewki, dodaje się od dołu wzdłuż, przez 15 o., małe rozszerzenie, potem robić drugą połowę, tym samym porządkiem co pierwszą, a obie złączyć szydełkiem. Podeszwę w miejsce skórzanéj, robi się z czarnéj włóczki o. śc. tam i napowrót, przejmując za obie nitki o. poprzedniego rzędu. W palcach podeszwa powinna mieć 9 o. szerokości, w następnych 12 obrobieniach rozszerza się stopniowo do 15 o.; potem obrabia się 5 razy bez przybierania, a w dalszych 5 gubi do 11 oczek. Następne 11 obrobień, daje się bez gubienia i przybierania; w dalszych 6 rozszerza się znów do 15 o. i tak przerabia 5 razy, a w ostatnich 8 obrobieniach wygubia się okrągło piętę do 7 oczek. Wierzch i podeszwa bucika łączą się z sobą z prawéj strony, jednem obrobieniem o. sc. pąsową bawełną. Włóczkowa podszewka robi się na drutach gładko, albo



N. 14. Szydełkowy bucik ściegiem karbowanym z rzucikiem kolorowym.

barankowym sposobem, zaczyna się na o. 50 i robi bez gubienia i przybierania 8 razy, w 12 następnych obrobieniach zwęża się odpowiednic do formy, a w górnej części przybiera odpowiednio. Skośne brzegi zszywa się z sobą i przyczepia u góry i u dołu, nieznacznemi ściegami do bucika. Zwierzchnie futerko czyli oszycie cholewki, stanowi 4 cent. szeroka robota pluszowa, z włóczki pąsowéj, przeplatana muszkami czarnemi. Do zapinania służą guziki czarne i pentélki z elastyki.

N. 15. Bucik szydełkowy ściegiem tunetańskim. Materjał: włóczka angielska pąsowego i perłowego koloru i wełna czarna. Przybierając i gubiąc jak w N. 14 obrabia się ściegiem tunetańskim 2 rzędy włóczką pąso- a 1 czarną. Rząd czarny jest wypukły ponieważ oczka przejmuje się za nitki z lewéj strony idące prostopadle. Na część przednią, potrzeba 21 tunetańskich obrobień, na jedną połowę cholewki 18 obrobień. Brzeg górny cholewki powinien być do tyłu trochę śpiczasto przybrany; przy zakończeniu połowy potrzeba nie tylko od dołu, ale i u góry przybrać kilka o., aby cholewka miała wciętą formę. Podeszwa odrabia się jak do poprzedniego bucika, podszewka robotą na drutach. Oszycie naśladujące futro, odrabia się z włóczki perłowej, szydełkiem. Sznur i kwaściki perłowego koloru.

N. 16—17. Dwie riusze do przybrania balowych sukien. Rycina 16 i 17 podaje dwie riusze, z brzegiem zwiniętym, w miejsce obrąbka, jak do listków do sukni N. 36, ułożone z tarlatanu w jednym i w dwóch kolorach. Riusza na N. 16 układa się z dwóch skośnych pasków białego tarlatanu 6 cent. szerokich. Paski te układają się w płaskie szerokie kontrafałdy i wkładają jeden w drugi w ten sposób, aby kontrafałdy mijały się z sobą. Na N. 17 biały szerszy skośny pasek układa się w drobniejsze kontrafałdy z szerszemi odstępami, w których umieszczone są pukle, ułożone podług wskazanego wzoru z tarlatanu różowego.

N. 18. Kosz na drzewo ozdobiony haftem. Czworokątny kosz pleciony, odpowiedniéj wielkości, zawiesza się na pięknym drewnianym postumencie rzeźbionym w guście rokoka. Zwierzchnie ściany kosza, pokryte są jasnem suknem, rypsem lub drelichem, na którym w arabeskach haftowanych kolorowymi jedwabiami, przylepione są czarne sylwetki, przedstawiające osoby ze znanych sztuk Goethego, Szekspira lub t. p. albo też postacie fantazyjne, charakterystyczne lub humorystyczne.

Sylwetki te rysuje się na białéj angielskiéj bibułce, wycina podług rysunku z czarnego aksamitu i na bibułce nakleja, brzegi bibułki przycina się starannie, a figurki przytwierdza na tle pokrywającem koszyk. Podany wzór ułatwia zrozumienie opisu.



N. 13. Pelerynka w kształcie berty i kokardami.



N. 12. Listek muślinowy z podwiniętym brzegiem do sukni N. 36.



N. 11. Medaljon haftowany do znaczenia poszewek, prześcieradeł, dużych obrusów itd.

N. 19. Wyszycie na aksamicie ściegiem łańcuszkowym. Wyszycie to użyte jest do sukni podanéj pod N. 31 w N. 7 Tygodnika, przy któréj był i opis szczegółowy.

N. 20. Czepeczek strojny dla starszych osób. Górna część czepeczka, ścięta w ząb nad czołem, liczy w środku 15 cent. szerokości, z prostéj strony jest 42 cent. długa u brzegów do 2 cent. zwężona i podłożona od spodu sztywnym tiulem. Wierzch stanowi tiul jedwabny w rzucik, mocno bufowany; od dołu poddana bufa z takiegoż tiulu, zaobrębiona i nawleczona na elastykę, całą zasłania głowę. Szerokość bufy wynosi 21 cent. Z przodu czepeczek przybrany jest skosem illuzji, zakończonéj cienką blondyną, ułożonym wachlarzowo; przyszycie bufy z tyłu pokrywa 6 cent. szeroka, bogata blondyna. Końce do wiązania dodane ze wstążki fijołkowej 7 cent. szerokiéj; ubranie przy twarzy i kokardy [illegible] są podług dokładnego modelu N. 20, ze wstążki 3 cent. szerokiéj.

N. 21. Ranny czepeczek. Krój w N. 9 Tyg. Mód. Znowu i przy tym czepeczku spotykamy się z bufą marszczoną, zachodzącą na całą głowę i tak powszechnie używaną do czepków dla osób w wieku, lub do negliżyków rannych, ponieważ włosy nie potrzebują starannego układania.



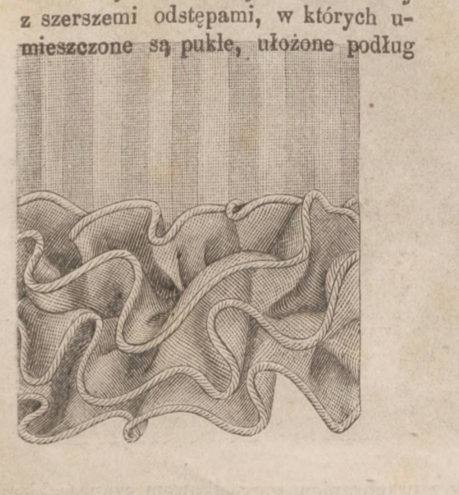
N. 15. Szydełkowy bucik w paski ściegiem tunetańskim.

Model odszyty jest z pół batystu, wstawki haftowanéj, 2 cent. szerokiéj i koroneczki do prania 1 cent. szerokiéj. Cześć wyższa ścięta w ząb do twarzy, 8 cent. szeroka, złożona jest z bufek podłużnych 2 cent. szerokich, przedzielanych wstawką, u dołu zakończona jest wstawką 48 cent. długą. Bufa dolna 28 cent. szeroka, przystrojona 2 rzędami wstawki, zaobrębia się u dołu i nawłóczy na sznureczki do wiązania. Wązko zaobrębione falbaneczki otaczające część górną przy twarzy i nad bufą, zakończone są 1 cent. szerokim tiulikiem; falbanki dane dwoma rzędami nad czołem, oszyte są 1 cent. szerokim brzeżkiem i ułożone na żelazku od rurkowania. Końce do wiązania są skośne, wązko obrębione, 48 cent. długie a 8 szerokie.

N. 22. Koszyczek na klucze z lambrekiną. Zobacz rycinę 10 w N. 7 Tygodnika Mód. Materjał: białe sukno, pąsowy atłas; pąsowy kordonkowy jedwab, czarna koronka 2 i pół cent. szeroka.

Na lambrekinę do podłużnego koszyczka, o czterech nóżkach, plecionego z żółtéj trzciny, potrzeba skośnego kawałka białego płótna, 6 c. szerokiego.

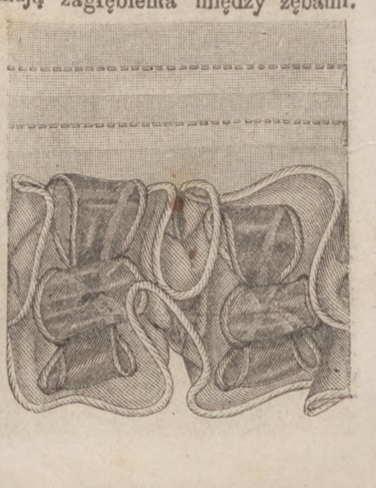
Okrągłe zęby lambrekiny, wycięte brzegiem w drobniutkie ząbki śpiczaste, przyozdobione są kołeczkami z pąsowego atłasu, naszytemi jedwabiem pąsowym, rzadkim dzierganym ściegiem i liczą 1 i pół cent. średnicy. Prosty górny brzeg sukna, pokryty czarną koronką 2 i pół cent. szeroką i przybrany skosem pąsowego atłasu; koronkę od góry naszywa się rzędem punkcików, a od dołu ząbki przytwierdza ściegami pąsowego jedwabiu. Pąsowe jedwabne kwaściki przyszyte z lewéj strony, na krótkich sznureczkach, zajmują zagłębienia między zębami.



N. 16. Garnirunek do sukien balowych z tarlatanu



N. 18. Kosz na drzewo przyozdobiony figurami.



N. 17. Garnirunek z kokardami z tarlatanu z brzegiem podwójnym.



N. 20. Czepeczek wizytowy dla osób starszych.

Ukończona lambrekina przymocowywa się niewidocznymi ściegami do brzegu koszyczka. Kokardy ozdabiające pałączék, składają się podług wzoru z atłasu 2 c. szerokiego wycinanego w ząbki i ułożonego w pukle, z czarnéj koronki, z trzech małych, 2 dużych kwaścików 2 i 7 centym. długich, wiązanych z jedwabiu.

N. 23—24. Narożnik i szlak na haft atłaskowy.

Bukiecik do batystowéj chusteczki nie potrzebuje opisu, o szlaczku do bielizny dodamy tylko iż dopełniony jest koronkową tasiemeczką i ząbkami szydełkowemi; tasiemeczkę podszywa się pod ząbki dziergane a robota szydełkowa składająca się ze słupków i o. pow. da się odrobić ze wzoru.

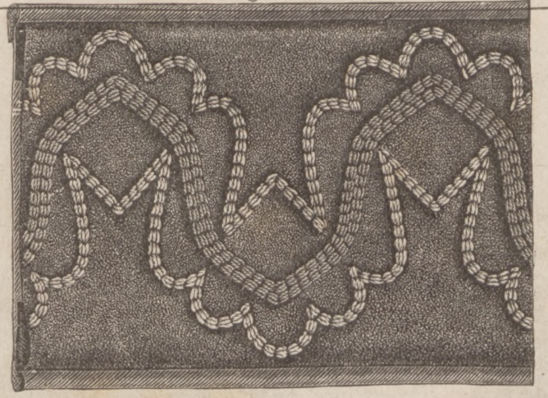
N. 25 i 26. Pantofel męzki. Haft na skórze patrz N. 26. Materjał: skóra popielata, takiż jedwab kordonkowy dwojakiéj grubości, sznureczek złoty i czarny jedwab.

Rycina 26 podaje w naturalnéj wielkości połowę deseniu, wyszytego na części przedniéj pantofla, dogodnéj formy na flanelowéj podszewce i futrzanéj podeszwie. Boczne ząbki wyszywa się na długości, stosownéj do miary pantofla; haft wyszyty popielatemi jedwabiami na nieglansownéj skórze tegoż koloru, ładnie się wydaje.

Kontury deseniu wyszywa się jak najgrubszym popielatym kordonkiem, środkowe linje dane sznureczkiem złotym, przytwierdzonym ściegami czarnego jedwabiu, a haft między linjami ściegiem długim, cieńszym popielatym kordonkiem. W gałązkach łodyżka środkowa dana grubym kordonkiem, boczne ściegi ze złotego sznureczka, przyszyte czarnemi ściegami, zastępują liście. Skóra dla równości roboty powinna być poprzednio według deseniu nakłuta, co najlepiéj uskuteczni rymarz.

N. 25 przedstawia skończony pantofel.

N. 27. Haftowany narożnik. Deseń ten polecamy do przyozdobienia talm, kaftanów lub na kapy czy serwety. Odpowiednio do celu haft wykonywa się kolorowymi kordonkami, albo cieniowanemi stopniowo, od jednego koloru, na materji jedwabnéj lub wełnianéj. Na wzorze



N. 19. Pliska aksamitna wy[illegible] łańcuszkowym ściegiem do sukni N. 30 [illegible] N. [illegible] Tyg. Mód.



N. 22. Koszyczek do kluczy z lambrekiną.

wijąca się wstążka, wyszyta jest czterema rzędami łańcuszka do cieniu, a bukiety różanych pączków, haftują się wypukło, na grubem wywiedzeniu, w ten sposób, jak się poddaje do atłaskowego haftu. Wywiedzenie takie nadając wypukłość, o wiele podnosi efekt gałązek. Przedłużając deseń, potrzeba uważać, aby bukiety szły raz do środka a drugi raz do brzegu.

N. 28—29. Dwa upięcia z kwiatów do strojnego ubrania.

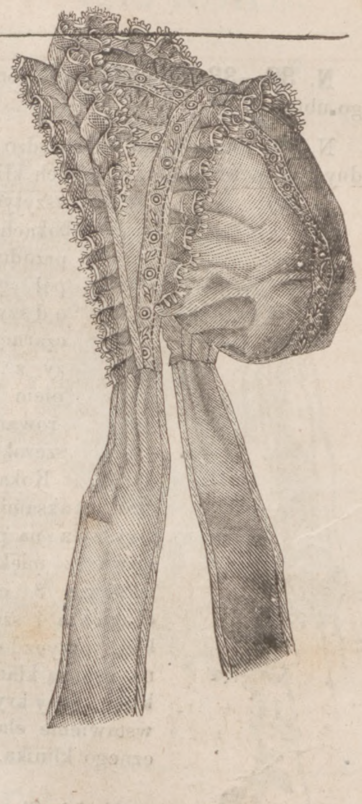
N. 28. Ubranie głowy z kwiatów różanych i mchu. Z pod pięknéj, wielkiéj róży i pęczka, drobnych różowych pączków i listków, zajmujących środek wianeczka z białych delikatnych kwiatków, spada długa gałązka o cienkiéj wielkiéj łodyż[illegible]pajana z różanych pączków



N. 25. Pantofel męzki. Haft na skórze. Putrz N. 26.



N. 23. Bukiet haftowany atłaskiem jako narożnik do chustki.



N. 21. Czepeczek negliżowy. Krój w Nrze 9 Tyg. Mód.

małych zielonych liści i drobniutkich kwiateczków białych otaczanych jedwabnym mchem brązowym i zielonym. Lekkie trawki spuszczające się długo dopełniają wianeczka.

N. 29. Ubranie z kwiatów i wstążek. Ubranie to składają, piękne winnegrono, pąsowo-śliwkowego koloru, otoczone takiemiż ciemniejszymi liśćmi, róża żółta mocno rozwinięta i pukle z ciężkiej rypsowéj wstążki 7 cent. szerokiéj koloru grona i róży. Z tyłu spadają długie końce w obu kolorach i gałązka ciemnych liści winnych i pączków różanych.

N. 30 — 31. Ubrania dla młodych osób.

N. 30. Suknia z muślinu w rzut kolorowy i tunika biała. Oprócz muślinu można użyć do tego ubrania każdéj przejrzystéj tkaniny, przez którą przebijałaby kolorowa suknia dolna, jak np. tarlatanu, krepy, tiulu lub grenadiny. Na suknię użyto muślin w rzucik a na stanik i tunikę materjał gładki. Przybranie składa się z riuszy jedwabnéj kolorowéj, wyciętéj w ząbki, która przy bercie znacznie jest węższą i z gustownéj koronki tiulowéj, jaką można sobie własnoręcznie wyszyć na tiulu. Pasek jedwabny, kolorowy zapina się z boku pod kokardą ze wstążki. Wdzięcznie na lokach przypięty wianeczek różany, odpowiada kolorem do kwiatu przypiętego na bercie. Dopełniają ubrania długie białe rękawiczki i biały wachlarz zakończony frendzelką.

N. 31. Ubranie domowe z tuniką i karoczkiem. Suknią z ciemnego materjału, przybierają u dołu tzkież pliski, 1 i pół cent. szerokie, również można na pliski użyć materjału w cieniu jaśniejszym, lub zupełnie innego gatunku. Jeżeli stanik nie jest krajany razem z baskiną, tunikę krótką, podpinaną z tyłu, dopełnić należy zgrabnym karoczkiem. Karoczek, kołnierzyk pod szyją i patki na rękawach zakończone kokardą, podszywa się sztywnym muślinem. Kołnierzyk i rękawki białe płórienne, jodwabna pąsowa krawatka, zakończona frendzlą i szlakiem, dobrze odbija przy ciemnem ubraniu.



N. 26. Haft na skórze do pantofla N. 25.



N. 24. Szlaczek haftowany atłaskiem zakończony



N. 27. Haftowany narożnik do przyozdobienia serwet

N. 32—33. Trzewik do domowego ubrania.

N. 32. Trzewik ten jest bardzo dogodny, z powodu elastycznych kliników wszytych na bokach i z przodu. Jest pół głęboki o d szy ty z czarnéj serży z dodaniem lakierowanych, szerokich nosków. Kokarda czarna aksamitna, przyszyta na podstawie z miękkiéj tektury, 8 cent. długiéj a 4 szerokiéj, przyozdobiona czarną klamerką, przykrywa wstawienie elastycznego klinika.



N. 28. Ubranie z kwiatów na głowę.

N. 33. Trzewik z kolorowego atłasu wyszyty jedwabnym sznureczkiem w takim samym kolorze. Brzeg górny oszyty grubym jedwabnym sznurem. Przybranie stanowi atłasowa kokarda naszyta na tiulu z pukli i końcy, tak jak do poprzedniego trzewika.

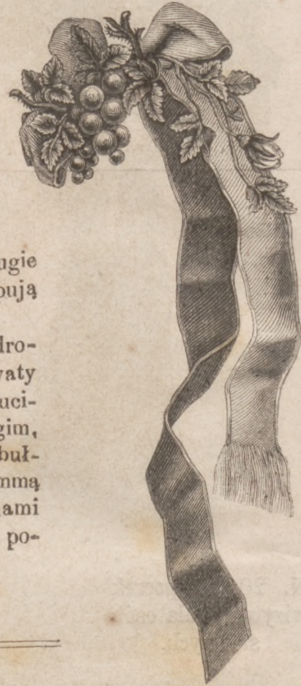
N. 34. Kokarda do włosów z motylem z piórek. Dwa pukle ze wstawki, 7 cent. szerokie i 6 c. szeroka, fałdowana koronka naszyta jedna pod drugą, składają kokardę, ozdobioną oryginalnym motylem z pawich piórek. Za podstawę do motyla służy kwadrat tekturowy 2 cent. długi, cokolwiek do przodu, wygięty podklejony brązową bibułką, objęty brzegiem cieniutkim drucikiem. Piórka z oczkami stanowią skrzydełka a długie włókna zastępują wąsiki.

Korpusik odrobiony jest z waty okręconéj na druciku 3 cent. długim, okręca go się bibułką, powleka gummą i okleja włóknami pióra, drobno pociętemi.



N. 30—31. Dwie toalety dla młodych osób.

N. 30. Suknia z muślinu w rzucik i tunika gładka. N. 31. Ubranie domowe z tuniką i karoczkiem.



N. 29. Ubranie z kwiatów i wstążki.

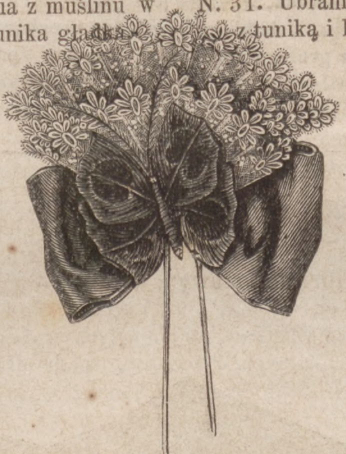
KORESPONDENCJA.

Pani Annie M. Rs. 1 kop. 30 odebraliśmy.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 9 Tygodnika Mód.



N. 32. Pantofelek z wyszywaną elast...



N. 34. Kokardka do włosów i motylem z piórek.



N. 33. Trzewiczek wyszywany sznurem.



N. 35. Suknia balowa z szelkami i karoczkiem.



N. 36. Suknia wieczorowa z garnirunkiem z liści. Patrz N. 12.